

Wejherowski Konkurs Literacki

**Powiew
Weny**



**POWIATOWA I MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO**

WEJHEROWO 2012

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

Pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2012

W y d a w c a:

**Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego**

Opracowanie, skład komputerowy: Henryk Połchowski

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Korekta: Ewelina Magdziarczyk-Plebanek

Druk: Drukarnia Typograf Rumia

Drodzy Czytelnicy!

W 2012 roku już po raz siódmy Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie zorganizowała Wejherowski Konkurs Literacki "Powiew Weny" pod patronatem Prezydenta Miasta Wejherowa. Tegoroczny konkurs odbywał się pod hasłem "Navigare necesse est..." To motto przez ponad dwa tysiące lat nic nie straciło na swojej atrakcyjności i znaczeniu. Nadal jest aktualne.

Cytat ten zaczerpnięty z dzieła greckiego filozofa i historyka Plutarcha pt. "Pompejusz" - widnieje na frontonie Domu Żeglugi w Bremie stanowiąc dewizę marynarzy, a także motto atrakcyjne dla rozwoju literatury. Słów tych, wielki wódz rzymski Pompejusz, użył w rozmowie z kapitanem statku, który nie chciał kontynuować rejsu z powodu burzy na morzu. Z dosłownego tłumaczenia wypowiedzi Pompejusza "Navigare necesse est, vivere non est necesse" odczytywana treść brzmi dosłownie: "Żeglowanie rzeczą konieczną jest, życie nie jest rzeczą konieczną". Jednak sens tej wypowiedzi faktycznie oznaczał, że "trzeba odpłynąć natychmiast, nawet ryzykując własne życie". Przewożone bowiem zboże z Afryki na pokładzie tego statku było bardzo potrzebne mieszkańcom Rzymu odczuwającym mocno braki zaopatrzenia w żywność.

Generalnie "Navigaere necesse est" stanowi wspaniały motyw do realizacji wypraw, dalekich i ryzykownych podróży, a także rozważań nad wyborem drogi życiowej dla każdego człowieka. Życie bowiem pełne jest momentów i sytuacji, w których nie ma ściśle określonych drogowskazów. Każda decyzja o wyborze kierunku nauki, pracy zawodowej czy partnera życiowego niesie w sobie skutki i konsekwencje, których do końca nie można przewidzieć. Głównie jednak "Navigaere necesse est" jest ideą przewodnią dla każdego żeglarza i marynarza, zwłaszcza w sytuacji gdy jako ojciec i głowa rodziny, musi rozstać się na dłużej z najbliższymi w związku z wyjściem w daleki rejs. W jakimś zakresie dotyczy ona także przedstawicieli każdej innej profesji w przypadku dalekich podróży lub długotrwałych wyjazdów do pracy za granicą, czego obecnie doświadcza wielu polskich rodaków.

Odczuwają to i rozumieją szczególnie mieszkańcy województwa pomorskiego, w tym wejherowianie, którzy od wielu lat i pokoleń związani są z gospodarką morską - marynarze, stoczniowcy, transportowcy i żeglarze. Choć Wejherowo nie jest miastem portowym leży w bliskim sąsiedztwie morza i polskich portów morskich takich Gdynia i Gdańsk, a także Puck, Władysławowo, Jastarnia czy Hel. Stąd tradycje związane z morzem i żegluga są bardzo żywe w wejherowskich rodzinach.

Godzi się przypomnieć, że po odzyskaniu niepodległości przez Polskę i dostępu do morza w 1920 roku, to właśnie w Wejherowie powstał pierwszy Urząd Morski. A w okresie budowy miasta i portu w Gdyni, to Wejherowo było miastem najbliższym i głównym węzłem kolejowym dla tej największej morskiej inwestycji II Rzeczypospolitej realizowanej pod kierownictwem inżyniera Eugeniusza Kwiatkowskiego, którą Kornel Makuszyński nazwał Wielką Bramą na świat.

W tym momencie przypomnieć należy, że w przedwojennym Wejherowie, jako stolicy powiatu morskiego, funkcjonował teatr i trzy kina. To do Wejherowa przyjeżdżali korzystać z dóbr kultury budowniczowie Gdyni.

Kiedy już tylko kilka miesięcy dzieli nas od otwarcia Filharmonii Kaszubskiej, nowego Wielofunkcyjnego Centrum Kultury, trzeba pamiętać że nieprzypadkowo w ten okazały obiekt wkomponowana została przez architektów duża sala widowiskowa w kształcie łodzi. Ma ona przypominać nie tylko tradycje morskie Wejherowa, ale nawiązywać do pięknych kart historii i kultury polskiej związanej z morzem. Są w niej takie nazwiska jak Józef Conrad Korzeniowski, Stefan Żeromski, Stanisława Fleszarowa-Muskat, Stanisław Goszczurny, Jerzy Pertek, Zbigniew Flisowski, Franciszek Fenikowski, Karol Olgierd Borchardt i wielu innych, których twórczość powinna być żywą inspiracją dla współcześnie piszących pisarzy i poetów.

Maksyma "Navigare necesse est" okazała się silnym impulsem i szerokim polem dla inspiracji twórczej poetów i pisarzy z naszego województwa, czego dowodem jest spora ilość prac nadesłanych na VII edycję Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny". Na tegoroczny plon konkursu wpłynęło 28 opowiadań i słuchowisk oraz 27 zestawów wierszy, z czego 21 prac nadesłała grupa młodych twórców przed 19. rokiem życia.

Komisja konkursowa pod moim przewodnictwem dokonując analizy i oceny nadesłanych prac miała niełatwy orzech do zgryzienia, gdyż prace biorące udział w tegorocznym konkursie prezentowały wysoki i bardzo

wyrównany poziom literacki. Można śmiało postawić tezę, że w tej edycji nie było słabych, nieciekawych czy niedojrzałych utworów. Wszystkie przeczytaliśmy z olbrzymim zainteresowaniem i uznaniem podziwiając inwencję, elokwencję, stylistykę, pomysłowość i kreatywność autorów. Świadczy to o rozwoju twórczym naszego społeczeństwa, a przede wszystkim rozwoju samych uczestników konkursu, z których wielu uczestniczyło w nim po raz kolejny wnosząc się na coraz wyższe poziomy pisarstwa.

Wszystkim tegorocznym laureatom składam serdecznie gratulacje i życzę powodzenia w dalszej realizacji planów literackich. Niech wyróżnienia przyznane przez jury naszego konkursu będą trampoliną do kolejnych sukcesów i dokonań. Dziękuję wszystkim uczestnikom, którzy z powodu ogłoszenia tego konkursu, poczuli wenę oraz potrzebę wyrażenia swoich myśli i uczuć, i zdecydowali się na udział w naszym konkursie.

Dziękuję komisji konkursowej za dokonaną ocenę wszystkich prac. Przypomnę, że w skład tej komisji wchodziło: Danuta Balcerowicz (dyrektor biblioteki, polonista), Ewelina Magdziarczyk Plebanek (teatrolog, kulturoznawca, bibliotekarz), Dariusz Majkowski (dziennikarz, redaktor Radia Kaszëbë i redaktor naczelny "Pomeranii") i Henryk Połchowski (dziennikarz i poeta).

Pragnę podkreślić, że jako organizatorom konkursu literackiego, zależy nam na propagowaniu twórców lokalnych i zachęcaniu mieszkańców do rozwoju własnej twórczości literackiej. Dlatego oprócz nagród i dyplomów każdego roku inwestujemy w opracowanie i wydanie publikacji książkowej zawierającej nagrodzone i wyróżnione utwory. Z powodu niewielkiej objętości tego wydawnictwa nie możemy wydrukować wszystkich prac konkursowych, ale kontynuując tradycję w pokonkursowym tomiku zamieścimy nazwiska wszystkich osób biorących udział w konkursie.

Mieszkańców ziemi wejherowskiej i województwa pomorskiego, obdarzonych uzdolnieniami literackimi, zapraszam w roku przyszłym do kolejnej, ósmej edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny".

Bogdan Tokłowicz
Przewodniczący Komisji Konkursowej
Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa

W Y N I K I
VI Wejherowskiego Konkursu Literackiego
„POWIEW WENY – 2012”

A – grupa do lat 19

POEZJA

I nagroda: godło "Buba" - Michalina Tańska z Wejherowa.
II nagroda: godło "Kazimierz" - Dawid Winiarski ze Starogardu.
III nagroda: godło "Areneith" - Agnieszka Grzegorzewska z Kapina.
Wyróżnienie: godło "Anka" - Anna Białk z Bolszewa.

PROZA

I nagroda: godło "Sable" - Aleksander Nowak - Kwidzyn Rozpędziny.
II nagroda: godło "Matjosz" - Mateusz Wasilka z Wejherowa.
III nagroda: godło "Profanum" - Aleksandra Mielewczyk z Bolszewa.
Wyróżnienie: godło "Adiutantka" - Małgorzata Witka-Jeżewska z Redy.

B - grupa dorosłych

POEZJA

I nagroda: godło "Leo" - Albert Duzinkiewicz z Kwidzyna.
II nagroda: godło "Antidotum" - Mirosław Odyniecki z Wejherowa.
III nagroda: godło "Luminarz" - Bogumiła Mielewczyk z Bolszewa.
Wyróżnienie: godło "EBK" - Elżbieta Bieńko-Kornacka z Szemuda.
Wyróżnienie: godło "Groel" - Edyta Wysocka z Miastka.

PROZA

I nagroda: godło "Ahoj!" - Lesław Furmaga z Gniewina.
II nagroda: godło "Marabutka" - Bogumiła Richert z Redy.
III nagroda: godło "Szyper" - Lidia Zdzitowiecka z Gościcina.
Nagroda Prezesa Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego: godło "Mustwin" - Mateusz Meyer z Lewinka.
Wyróżnienie: godło "Krecik" - Tomasz Fopke z Chwaszczyna.
Wyróżnienie: godło "BCFB" - Krzysztof Szkułatowski z Wejherowa.

TAM GDZIE KRES...

Wiktorą po latach spotkałem w szpitalu. Z sercem miał kłopoty od dawna, ostatnio dopadło go jeszcze zapalenie płuc. Przyszedłem gdy już się jako tako wykaraskał z choroby. Pół leżał pół siedział na łóżku i usiłował czytać kolorowe czasopismo na którym zauważyłem kadłub kontenerowca na tle portowych dźwigów. Należał do starego pokolenia.

- My nie mamy idei, bo nasza idea to oszustwo, dlatego ja mam swojego świra i mi z tym dobrze - mawiał do mnie równo połowę wieku przedtem... A miał świra na punkcie wszystkiego co morskie. Nie mógł się dostać do morskiej szkoły bo był politycznie pyskаты i w odpowiednim urzędzie zapisane było w jego osobistej teczce, że towarzysza Stalina lekceważy, kawały godzące w generalissima opowiada, amerykańizm zasiewa... No to pracował u Uślizgły na żółtej łodzi a potem na kutrze. Łowił ryby a o morzu pisał wiersze. Nafukane były, pełne patosu, do niczego. Miał literacką antenę tylko jedną - odbiorczą, drugiej nadawczej już nie miał. Odczuwał smaczek tonącego w słonej wodzie słońca, magię rodzącego się szkwału, mierność zbudowanego przez człowieka okrętu wobec potęgi stworzonego przez naturę morza, ale opisać już tego, mimo wielkich chęci, nie umiał.

Podobnie jak do aktora grającego w serialu przyczepia się imię z tego serialu tak do Wiktorą przyłgnęło przezwisko „Nawigare” ... a dlaczego, to zupełnie odrębna sprawa... - Nawigare to, Nawigare tamto, idź do Nawigarego on ci wytłumaczy, daj Nawigaremu połówkę, to ci pomoże... Ludzie prości, rybacy którzy przychodzili na kuter nie wiedzieli co znaczy owo wyniosłe i tajemnicze „*Navigare necesse est, vivere non est necesse*” i długo nie wiedzieli też -, że on nazywa się Błaszczkiewicz a nie Nawigare...

To było już na przemysłowych trawlerach rufowych, łowiliśmy pod Orknejami. Były to ostanie tygodnie przed zejściem do kraju. Brzuch „Barweny” rozsadała ryba, opasała dorodna kergulena. Wypełniony po brzegi zmrożonymi kartonami, zanurzony niemal do linii bezpieczeństwa statek dostojnie bujał się na martwej fali. Życie biegło swoim okrętowym rytmem. W maszynie wszystko kręciło tak równo, że niemal stało w miejscu, w ła-

downiach zapełniano wolne dotychczas luki i przejścia, na pokładzie panował klar morski, na mostku padały krótkie komendy. Był przelot na bardziej ku biegunowi zbliżone łowisko. Nawigacją rządził I oficer Boguś Rakowski, dusza człowiek ale rybak z bumagą i przenośnikiem w ręku. Wszystko miał zapisane oraz odpowiednio odmierzone i tego się trzymał. Broń boże, gdy mu się coś pomyliło albo coś przeoczył, to była katastrofa.

Wiktor był wtedy III oficerem, tyle że każdy wiedział, iż on w żeglowaniu ma farta. W nawigacji był asem. Jak szykował się ciężki przelot w nocy między górami lodowymi, stary niezależnie od tego czyja była wachta kazał budzić Wiktora, powiadał że Nawigare ma niucha do lawirowania statkiem w skosach między icebergi i kiedy ma nos w mapach i lornetę pod ręką, to kapitan może się nawet zdrzemnąć. A stary na Barwienie miał kota na punkcie udoskonalenia szalupy. Powiadał, że od czasów Kolumba statki zmieniły się w pałace, tylko łodzie ratunkowe pozostały na nich jak kaczkę na pokracznych żurawiach, odkryte, zawodne... średniowieczne. Godzinami też w czasie wolnym siedział w drugiej szalupie na sterburcie i udoskonaliał w niej różne szczegóły. Mierzył, przymierzał, odmierzał a potem w warsztacie u mechaników wykonywał cudeńka, w które tą swoją „prototypową” łódź wyposażał. Było tam stanowisko sygnałowych świateł dymnych jego konstrukcji, słoneczna aparatura do oczyszczania wody morskiej, składana koja dla rannego...

Tego dnia lekko sztormiło od Orknejów, na czubkach fal pokazała się biała piana, czasami zacinął skośny, kąśliwy deszczyk... Na mostku jak już było powiedziane rządził I oficer Boguś Rakowski. Stary siedział w swojej ukochanej szalupie i kombinował nad udoskonaleniem rury wydechowej silnika, tak żeby ją było po wydłużeniu można wykorzystać do suszenia przemoczonych sztormowych ubrań. Czegoś mu widocznie zabrakło bo wygramolił się na skośny śliski brezent z zamiarem zejścia na pokład...

No i nagle, w niemal senny klimat przelotu, wdarł się krzyk II kucharza Jacusia. Każdy kto słyszał taki krzyk na pełnym, wzburzonym morzu, będzie owe trzy słowa i ton głosu jaki je niósł pamiętał na zawsze.

- CZŁOWIEK ZA BURTĄ! ... AHHOJJ ! CZŁOWIEK ZA BURTĄ!

Byłem w kabinie armatorskiej, której bulaje wychodziły na windę kotwiczną i slip. Wskoczyłem na pokład. Nie więcej jak dwieście metrów za statkiem z prawej burty miotła się na falach ludzka figurka w pomarańczowym norwesterze.

- Człowiek za burtą! To jest Stary! To kapitan ! – darł się kucharz Jacuś. Na skrzydło mostka wyskoczył I oficer Boguś Rakowski. Widać było, że jest

przeżony. Rzucana młodą, krótką falą pomarańczowa figurka mała i nikała w oczach, majacząc na tle wielkiej białej ściany iceberga. Boguś w tej chwili zapewne zrozumiał to co i ja zrozumiałem. Starego wiatr znosił na iceberga, góra lodowa była niewielka, może jak siedem a może jak dziesięć statków, leżała jednak prosto na kursie dryfu rozbitka. Gdy starego na nią zniesie - koniec! Nie da się podejść by go podnieść z wody, bo statek roztrzaska się o lodowiec... Decydowały sekundy. Aby zawrócić i wejść między górę a rozbitka było za mało czasu i za mało miejsca, aby zawrócić i podejść do ratowanego od nawietrznej też było zbyt mało czasu... Coś jednak należało zrobić i to natychmiast. Pierwszy oficer trzymał się kurczowo relingu i oddychał głęboko, to była sytuacja, jakiej nie przewidywała żadna procedura. Zbawienny w tej sytuacji manewr mógł wykonać sprawnie tylko kapitan, ale kapitan był za burtą... Od czasu pierwszego okrzyku minęła minuta i czterdzieści, może pięćdziesiąt sekund, ale zmieniło się bardzo wiele, statek znacznie oddalił się od kapitana, a kapitan przybliżył się do lodowej góry.

W tej chwili w kąpielówkach, ze spodniami w ręce na skrzydle mostka pojawił się Nawigare. Maszyny były już na całej wstecz, statek gwałtownie tracił szybkość. - Panie pierwszy - Nawigare starał się mówić spokojnie - panie pierwszy, dwie szalupy na wodę, proponuję dwie szalupy na wodę, proszę o pozwolenie, ja na pierwszej, ja, Jacuś i jeszcze ze dwóch w norwesre-rach... - I oficer milczał, pot wystąpił mu na czoło, ścisnął drewnianą poręcz relingu, palce miał białe pod paznokciami. Kapitan był za burtą, dryfował na iceberga, a on dowodził statkiem, on dowodził akcją... Nie zupełnie wiedział co ma robić w tej wyjątkowo trudnej sytuacji. A Nawigare ?... Nawigare to talent, to fenomen, ale to on, pierwszy oficer dowodzi akcją a nie Nawigare... Ludzie, opinia, Izba morska... rozgłos...

- Maszyny stop ! Dwie łodzie na wodę, akcją z szalup dowodzi Nawigare, to znaczy, to jest... dowodzi III oficer Błaszczkiewicz, poprawił swoją wychrypianą przytłumionym głosem komendę pierwszy. Ale Błaszczkiewicza już na skrzydle mostka nie było, klęczał na pokładzie i z takiej pozycji pośpiesznie wciągał na grzbiet skafander norwestera.

Przed tym rejssem, jedynie właśnie na Barwę trafiły wywalczone przez inspekcję pracy norweskie ubrania roboczo ratunkowe. Był to wielki skok w zakresie poprawy bezpieczeństwa dalekomorskich rybaków i marynarzy. Dotychczas nawet na łowiskach Antarktydy ludzie pracowali w kufajkach i filcowych butach. W skafandrze norwestera na wielostopniowym mrozie z wichurą było ciepło i pracowało się w sposób nieskrępowany a w przypadku wpadnięcia do lodowatej wody można było w niej przebywać nawet

kilkanaście godzin. To stary z Barweny walczył o te ubrania i ściśle, zaczynając od siebie, przestrzegał aby załoga je nosiła. Sam na swoją udoskonaloną szalupę też chodził zawsze w norwesterze, inaczej w lodowatej wodzie już od kilku minut by nie żył. W tej chwili zauważyłem, że na trzech szalupach pracują silniki. To Nawigare, zanim z portkami w ręce dotarł do „pierwszego” zarządził uruchomienie wszystkich szalupowych silników, który pierwszy zapali, ten lepszy. On trzymał z Jacusiem z kambuza a swoją drogą ja do dzisiaj nie wiem czy Jacuś to było imię, nazwisko czy też przydomek chłopaka z okrętowej kuchni, który studiował matematykę i był pływackim ratownikiem jakiejś specjalnej klasy. Szalupy poszły na wodę, Barwena stała się jedynie bazą akcji. Na front walki o życie kapitana ruszyły szalupy którymi dowodził Nawigare. Ta akcja pod Orknejami przebadana później dokładnie przez izbę morską przeszła do historii ratownictwa, rok później w jakimś angielskim czasopiśmie morskim znalazłem jej opis. Minęło ledwie kilkanaście minut jak obie szalupy dotknęły wody i uwolnione z zaczepów ruszyły w pogoń za dryfującym kapitanem. Może pół mili od Barweny tkwił w kipieli nieruchomo długi, wysoki na ze trzy piony statku lodowiec. Nie więcej jak kabel od niego utrzymywał się na wodzie między falami człowiek, i ze dwa kable od człowieka znajdowały się w tej chwili dwie pędzące w jego kierunku szalupy. Trwał sprinterski wyścig, szalupy musiały dotrzeć do człowieka zanim ten zbliży się do iceberga... była taka szansa. Pierwsza szalupa znajdowała się już niedaleko od rozbitka, gdy nagle jakby podskoczyła do góry, zmieniła kurs i zaczęła kręcić się w miejscu jak bąk. Ludzie na Barwencie zamarli, statek małą naprzód także przybliżał się do rozbitka.

- Wpadli na growlera... – powiedział ktoś złowieszczo.

- Wpadli na odłamek góry i skrzywili ster, jasna cholera... - słychać było przekleństwa. Do uszkodzonej szalupy podeszła szalupa sprawna, nie za blisko, aby dwie skaczące wysoko na falach obok siebie łodzie nie rozbiły się o swoje burty z trzaskiem. Ludzie na „Barwencie” niemal powłazili do okularów swoich lornet. Nawigare był na łodzi uszkodzonej, jego załoganci pochwycili rzutkę, na której przeciągnięto linkę z szelkami i Nawigare skoczył w kipieli skotłowanej wody. Ciągnięty na takim holu szybko znalazł się na łodzi sprawnej. Niestety kapitana od góry lodowej dzieliły już tylko metry. Na szczęście wichura i fala dryfowały rozbitka na krawędź, na sam brzeg południowej ściany iceberga. Szczęściem było także to, że brzeg góry lodowej był tu płaski i łagodnie zanurzał się w kipieli. Kapitanowi nie groziło więc rozbitcie o lodowiec przez rzucające nim fale. Ów niesamowity spektakl oglądała cała załoga, kto żyw stał na pokładzie Barweny i patrzył, patrzył bo

nic więcej zrobić nie mógł. Kapitan wylądował na tarasie lodowca i huśtał się na unoszącej go fali ocierając o wysoką lodową ścianę. On i Nawigare wpadli widocznie jednocześnie na ten sam pomysł... kapitan musi się przesunąć na skraj południowej krawędzi lodowca i tam z niego zeskoczyć. Nie mając już przed sobą lodowej ściany podryfuje w przestrzeń oceanu gdzie od zawietrznej swobodnie będzie go mogła podjąć sprawna szalupa... Tyle, że było już po południu i zmrok zapadał szybko, trzeba było zdążyć przed zmrokiem... Plan był realny i po trzech godzinach od tego jedynego tak dramatycznego okrzyku na okręcie, kapitan pochwyił rzutkę z szelkami. Kilka minut po tym znalazł się na pokładzie łodzi a godzinę później na swoim kapitańskim mostku.

Po powrocie do kraju, Nawigare zapytany na rozprawie izby morskiej dlaczego polecił opuścić dwie szalupy, odparł, że ta druga miała być zapasowa, bo koło iceberga zauważył growlery... Stary wtedy dodał, że jakby tam przypadkiem były niedźwiedzie polarne to Nawigare zabrałby na szalupę myśliwego, bo on zawsze przewiduje wszystko...

Po roku czy dwóch, gdy się dla naszych zejmanów otworzyła droga na zachód, Wiktor trafił za szypra na kuter duński a potem prysnął do Ameryki. Życie przepływał jako kapitan wielkich kontenerowców. Był bogaty, ktoś go podkusił by wydał w Polsce za własne pieniądze tomik swoich wierszy. Dziewczynę miał wtedy bardzo fajną, aktorkę z jakiegoś małego teatryku w Warszawie. Magda miała na imię. No i ta Magda wytłumaczyła Nawigaremu na czym polega prawdziwa poezja. Wiktor miał pracodawcę w Ameryce, ale mieszkał w Polsce. Fortecę fordą, olbrzymą kupił i pamiętam jak we troje z tą Magdą jeździliśmy po Polsce tym fordem olbrzymem wycofując jego tomik poezji z księgarni. Uparł się, że zrywa z poezją, chociaż między Bogiem a prawdą gorsze wierszydła można było wówczas i można dzisiaj nabyć w księgarniach w bardzo ładnej oprawie.

Na tym spotkaniu po latach, poszliśmy labiryntem korytarzy wejherowskiego wielkiego szpitala na dół do restauracji – kafejki. Nawigare nie mógł iść, jechał na wózku. Gdy doczłapaliśmy do stolika odetchnął głęboko i powiedział: - Wiesz, ale to nieprawda, że życie nie jest konieczne... W różnych sytuacjach na morzu, nie jeden raz biała pani szczyrzyła do mnie zęby... Ale to było inaczej, mimo, że była tuż tuż, zawsze trzymała się z daleka... I mimo, że tyle razy była przy mnie dopiero teraz przez swoje osiemdziesiąt pięć kalendarzy czuję, że to tylko ona jest konieczna. Podróżujemy na azy-
mut gdzie tylko kres... za którym nie ma już nawet żeglowania.

Lesław Furmaga

Żeglowanie jest koniecznością

W jednym z nastoletnich magazynów natknęłam się na historię o cudownym chłopcu. Ów chłopiec zamieszkał z rodziną zastępczą. W tej zastępczej był rówieśnik, syn zastępczych, który był bardzo zazdrosny o nowego członka rodziny. Główny bohater był na prawdę nietypowym nastolatkiem - czytał książki, uczył się, pomagał zastępczej mamie w domowych pracach, wynosił śmieci z pieśnią na ustach i za wszystko dziękował. Moja córka zaniósła historię o chłopcu do szkoły, dziewczyny zachwyciły się i pomstowały na tego drugiego. – Ale to jest fikcja, nie ma takich chłopców-skwitowała.

Dzień któryś...

Przywieziono, na raty, gromadę dzieci. Nawet ręki podać nie chciały na dzień dobry. Co niektóre chlpały pod nosem. Strzechy na głowie, nosy wielkie od kataru, osy skośne od fasu. Jedna z dziewczynek była ubrana jak.. no wiadomo jak kto. Spodnie na wątlých biodrach, koszulka z dużym dekoltem na pół brzucha. Pomyślałam sobie - mój Boże, co to jest? Yeti? W sumie wszyscy wyglądali jak wielkie coś, twór nieogarnięty. Jedna ze starszych, zdawało się, że przewodniczy stadzie - samica alfa. Oho, pomyślałam, trzeba się do niej zbliżyć, można się dużo dowiedzieć. Odstawała od reszty - była zadbana, nawet ładna, uśmiechnięta. Dowiedziałam się później, że była od niedawna „umieszczona”, że do liceum zapisana, że ma tatę za granicą, że mamę ma niedaleko, i że mama nie chciała jej w domu, dlatego zaprowadziła na policję, bo sobie z nią nie radziła. I to by było na tyle.

Dzień kolejny....

Marzyłam o tym, aby wreszcie się wyspać. Od prawie dwóch tygodni nic tylko remonty, załatwianie formalności. Dom był surowy - beton, wszędzie beton. Jakiś pan precyzyjnie pracował nad schodami, musieliśmy malować, sprzątać, układać. Z urlopu nici. Nasze córki nie pojechały na wakacje, bo po prostu nie było nas stać. Zazwyczaj jeździliśmy nad morze, albo robiliśmy sobie ognisko. Dzieci nie narzekały, wiedziały, że tak musi być i tyle. Miesz-

kaliśmy kiedyś w takiej dzielnicy, gdzie większość dzieci spędzała wakacje na podwórku. Z wypiekami na twarzy dzieci dzieciom opowiadały jak było nad morzem w sobotę, bo tata zabrał ich samochodem...bo tata wziął jeden dzień urlopu...

Spać... Problem z meblami, bo nie ma jeszcze przekazanego budżetu. Mamy jakieś oszczędności, zamawiamy meble, łózka przede wszystkim. Spać.... Znowu trzecia nad ranem. Spać...

Kolejny...

Ktoś przywiózł tort, ktoś uściskał dłoń i pogratulował odwagi i poświęcenia. Było dużo patetycznych słów i na tym się skończyło. I dobrze, bo za robotę trzeba było się zabrać – kuchnia w rozsypce, sprzęt albo do podłączenia i odbioru, albo jeszcze nie było w ogóle, bo... nie ma na koncie pieniędzy z budżetu.

Nasze bankowe konto puste. Przywieźliśmy wszystko z naszego mieszkania, musimy przecież gdzieś usiąść i spokojnie zjeść, w końcu będzie nas 14 osób do posiłku. Mamy dwa stoły – nasz z domu i taki „służbowy”- z przydziału. Ustawić razem - ciężko. Jeden niski i szeroki, drugi wyższy i wąski. Konfiguracje ustawienia stołu były różne, zawsze było coś nie tak - za ciasno, za dużo przestrzeni na stole, ktoś koło kogoś nie mógł siedzieć, bo awantura murowana. Samochód pracował na pełnych obrotach - tony jedzenia, tony ziemniaków, hektolitry picia. Butelki plastikowe walały się wszędzie - pod łóżkiem, pod kołdrą, za domem, pod schodami, albo na sąsiednim placu budowy (ławo przecież rzucić z okna butelczynę). Wszędzie. Instruktaż o segregacji śmieci nie dał rezultatu. Przywieźliśmy tablicę i markery. Napisałam co i jak, czytają jak jedzą. Coś się w końcu ruszyło, bo co niektóre butelki trafiły do worków.

Kolejny....

Rok szkolny tuż, tuż (za dwa dni), a oni nie mają nic! Plecaki sztuk 2, zeszyty w wąskie linie jak dla pierwszaków (a był tylko jeden ośmiolatek), trochę plasteliny. Żadnych podręczników, przyborów. Zero. Idę po „budżet”, a w zasadzie po informację, czy mogę już kupić coś do szkoły. Słyszę, że nie ma jeszcze przelewu. Łzy stanęły mi w oczach, bo ja już też nie miałam pieniędzy, żyliśmy z jednej pensji, a obiecana umowa o pracę nadal była obiecana. Lodówka znowu pusta, nie mam im za co kupić wyposażenia do szkoły. I ubrań, bo to co przywieźli ze sobą, to koszmar..

Wracam do domu i przekleństwa cisną się na usta. Czara goryczy wylała się w przydrożnym kiosku marki „Ruch”- mój ruch był taki, że rozbeczałam się z bezsilności. Pani z kiosku stała jak słup soli, nie wiedziała co powie-

dzieć. Wybełkotała, że jest jej przykro. Zawsze coś, bo przynajmniej nie byłam sama, której było przykro...

Kolejny....

Wreszcie jakiś przelew. Lecimy do księgarni, jeździmy po antykwariatach, aby taniej kupić podręczniki. Idą do szkoły gwarnie, w białych koszulach, weseli, najedzenie. Alfa zażądała kosmetyków, bo musi być „mejkap”- ma trądzik i „siarą” jest być nieumalowaną do szkoły.

Moje córki same wyprasowały sobie koszule, zapakowały się do szkoły, pojechały. Usłyszałam pa! Przyłapałam się na tym, że dawno z żadną nie rozmawiałam więcej niż pięć minut. Wewnętrznie obiecałam poprawę i z uspokojonym (trochę) sumieniem wzięłam się do roboty.

Kolejny z kolejnych...

W pokojach koszmar! Bielizna brudna pod łóżkiem, brudy schowane do szafy, jedzenie pomiędzy ubraniami. Smród wszędzie. Alfa odsunęła szafę i tam schowała skarpety, stanik i brudne majtki. To był dopiero początek! Kolejny pokój - smród potu, wczorajszych skarpet dał od razu w twarz. Wszystko misternie wrzucone pod łóżko. Sole trzeźwiące powinnam mieć w apteczce na stałe. Łazienka, to było wyzwanie! Brudna, wręcz ohydna, a toaleta eh... wolę nie mówić Poczulałam się jakbyśmy mieszkali na dworcu.

Obiad także stał się wyzwaniem – ogromny koszt ziemniaków, codziennie. Strugać trzeba było jak w karnej kompanii. Mięso, surówka. Sporo czasu na gotowanie. Dzieci jadły ze smakiem, ale nie wszystko. Surówka fuuu, mięso - tylko pałki z kurczaka, a po obiedzie maraton do lodówki po kilka jogurtów. Przepychanka, krzyki, bo ktoś komuś zabrał ulubiony. Wiedziałam, że trzeba coś z tym zrobić. Postanowiłam przez tydzień przyglądać się z nadzieją, że się w końcu kiedyś najedzą.

Kolejny...

Moje dzieci zaczęły żyć swoim życiem, to tak jakby się wyprowadziły z domu, usamodzielniały, a przecież były jeszcze nastolatkami. Obiecałam, że przyjdę do pokoju (mieszkały w jednym pokoju, razem w trójkę). Ich „twierdza” była jedynym miejscem, gdzie mogłam się ukryć przed milionem pytań o byle co. Przyszłam i od razu wszystkie trzy wtuliły się we mnie. Każda chciała opowiedzieć coś swojego. Przyłapałam się na tym, że zapomniałam, do której klasy chodzą: be czy a?. Nie pogadałyśmy długo, bo mąż zaczął wołać i krzyczeć, coś się stało. Wybiegłam z pokoju. Dwóch braci biło się bez opamiętania na schodach. Wyzwiska, okładania się pięściami. Mąż jednego, ja drugiego. Siad do stołu! Krzyczą, oskarżają się, wyzywają. Młodszy silniejszy, bardziej wysportowany, starszy chudy jak patyk, ale zadziorny jak gła-

diator na arenie. Dosyć! Pięść w stół ostrzegła, że nam się to nie podoba. Marsz do swojego pokoju, pogadamy jak się uspokoiacie! Poszli z wiązką na ustach pod naszym kierunkiem. Pacierze odmówicie przed snem! - zapewniłam.

Kolejny..

Antropolog miałby u nas pełne ręce roboty. Przez tydzień - codziennie tańce i zabawa. Taniec chochołów, picie, jedzenie, śmiech, a w zasadzie coś, co było bardziej skrzekiem a nie śmiechem. Śmieją się w sytuacjach każdych - czy smutno czy wesoło - śmiech. Ciągłe piją, ciągle jedzą, ciągle się kłóć. Na podwórku bieg naokoło domu - wszyscy razem. Maraton. I fajki pokoju. Dym zza roku domu czasami był widoczny. Rewizja osobista nic nie dała, ktoś musiał dać cynk i delikwenci pochowali papierosy. Czasami udało się złapać kogoś w domu na paleniu. Myny nietęgie, a przecież nie tak dawno zarzekali, że nie palą. Okrojone kieszonkowe też nic nie dało. Mieli papierosy i tyle, a jak zabrakło - potrafili spod knajpy pety zbierać.

Kolejny...

Dzieci dały mi cynk - Alfa wróciła pijana ze szkoły. Ha! dlatego tak sprytnie cichutko przemknęła po schodach. Rzeczywiście, zalana w trupa. Nie kontaktuje nic się do niej mówi. Wstała rano z kacem i z takim nastawieniem jakby się nic nigdy nie stało. Phi! Też coś! Zablokowała na godzinę łazienkę, umalowała się, wyrzuciła bieliznę pod biurko i poszła. Chyba do szkoły. Szkoła informuje, że rozrabia, że się bije z dziewczynami, często nie przygotowana do lekcji. Racja, książki zakurzone, wszystko leży tak, tak jak wcześniej. Rozmowa. Usłyszałam śmiech i argumenty, że nikt w szkole nie nosi książek, że muszę kupić marynarkę, bo szkoła mundurowa, że spodnie ładne widziały i chciałyby takie mieć...

Dzwoni wychowawca jednego z chłopców. Nie pracował na lekcjach, obraził nauczyciela, wyzwiał księdza, dał w twarz koleżance z kasy. Rozmowa. Zakrył się butelką, żeby ze mną nie rozmawiać.

Dzwoni wychowawczynie - kolejny z chłopców wdał się w szkole w bójkę i ma złamaną nogę. Do szpitala proszę przyjechać, szybko. Pojechałam. Siedzi delikwent na wózku, wszyscy wokół niego się uwijają, bo chłopiec z domu dziecka. Tylko ja, wyrodna ciocia, patrzę na niego ze złością.

Kolejny, nie wiem który to już miesiąc, sprawdzę czy są liście na drzewach. O! nie ma..?

Święta za pasem. Moje dzieci się cieszą. Lubią święta, krzątanie, sprzątanie i potrawy. Ostatnio, jeszcze w naszym domu, mąż zrobił pysznego karpia. Nigdy karpia nie jedliśmy, bo dużo ości, a dzieci małe. Czasami nie było

stać na wymyślne potrawy. - Mamo - przypomniła mi starsza córka - pamiętasz jak dostałam pierwszy wózek dla lalek?. Pamiętam, jakbym mogła zapomnieć. Pracowaliśmy obydwój, ale pensje były marne, mieszkanie wynajęte, bezrobocie ogromne. Kupiliśmy naszej pierworodnej wózek i lalkę, sobie nic, bo nie starczyło. Tak się cieszyła. Miał wtedy ze 3 lata. Cieszyła się z każdej rzeczy i tak jej zostało do dzisiaj.

Wigilia...

Strojenie choinki także w atmosferze przepychanek, kłótni, wyzwisk. Mąż sam powiesił bombki i świece, dzieciaki patrzyły. Zapakowane prezenty schowaliśmy przed wścibskimi noskami w naszym mikro pokoju. Zbliżała się kolacja. Nakryliśmy do stołu, ktoś zszedł z góry i dostał do ręki sztuczce. Zabieram się za rybę, córki nauczone, że trzeba pomagać, krzątają się ile mogą. Dzieciaków nie ma. Słyszę hałas na piętrze, śmiech, krzyki, ale nie mam czasu sprawdzać co się dzieje - ryba do pieczenia, stos garów w zlewie. Wreszcie schodzą, ubrane w białe bluzeczki, umalowane, pachnące. Chłopcy w czystych ubraniach (bo wujek kazał się przebrać). Niedowierzałam. Zapytałam się czy mieszkać w hotelu? Nie zrozumiały pytania. Kazałam zdjąć bluzki i pozmywać naczynia. Ofukała mnie Alfa, młodsze zrobiły bez zbędnego gadania. Wreszcie usiadłam do stołu, nawet nie zdążyłam się przebrać, bo już wszyscy siedzieli chcieli jeść. Czułam się jak kocmołuch – śmierdząca olejem i rybą.

Potem były prezenty. Radość ogromna. Ku naszemu zdziwieniu, wszystko wylądowało w szufladach, zabrali ze sobą siatki ze słodyczami (od sponsora) i poszli oglądać tv. My zostaliśmy przy stole, nie dowierzaliśmy temu, że tak przedmiotowo można traktować święta. Po raz pierwszy po długim czasie, bez pośpiechu można było porozmawiać. Wiedziałam, że żadne z dzieci nie przyjdzie z jakimkolwiek pytaniem, bo mieli zapasy słodyczy, a po drugie - zostaliby zatrudnieni do sprzątnięcia.

Straszny dzień....

Jeden z chłopców obchodził urodziny. Przyjechała matka, przywiozła tort, dzieciak cieszył się jak nigdy dotąd. Pozostali z zazdrością patrzyli na ich ciepłe relacje.

Był to dzień wywiadówki naszej córki. Miałam wreszcie chwilę wytchnienia, mogłam wyjść z domu. Telefon. Mąż zdenerwowany - jedna z naszych córek potrącona przez samochód, jedzie do szpitala. Wracam do domu pełna niepokojów. Mówię dzieciakom, że był wypadek, że w szpitalu. Patrzą na mnie, wreszcie jeden pyta - ona nie żyje? I puszcza muzykę na cały regulator. Niedowierzałam. Wydarzyła się tragedia, a oni tańczą i bawią się

w najlepsze. No tak, ona nie była jedna z nich, była naszą córką, czyli dla nich nikim szczególnym.

Córka wróciła spuchnięta, wybity ząb, połamany drugi, buzia w strasznym stanie, a psychika chyba jeszcze w gorszym. Płacze, a my z nią. Wreszcie zasypia. Zachodzę do niej od czasu do czasu, ale nie na tyle i nie tak często jakbym chciała. Ciagle młyn.

Dzień sukcesu pewnego chłopca...

Chłopiec wraca do domu, do mamy. Radość nie doopisania! Powiedziałam żartobliwie, że więcej nie chcę go u siebie widzieć! Jeden z chłopców uciekł do pokoju, wstydził się łez. A jednak! Nie jesteście tacy twardzi jak się wam wydaje! To dobry znak, oj dobry...

Kolejny dzień szkolny

Spotkanie z pedagogiem szkolnym Alfą. Pan miły, konkretny, potrzebował informacji o dziewczynie. Opowiedziałam o spotkaniu z matką sprzed kilku dni. Przyjechała samochodem, postawiła pod bramą. Alfa wiedziała o jej przyjeździe, ponieważ namiętnie korespondowały dzięki sms-om. Matka wysiadła z samochodu, Alfa do niej, że niby przywitać się chce. A matka jak nie ryknie, jak nie wrzaśnie, jak nie zacznie wymachiwać rękoma (dobrze, że miała tylko dwie) i słów wulgarnych używać. Alfa skuliła się w sobie (a niby taka bohaterka!), mąż doskoczył, bo był najbliżej, odsunął Alfę. Zaczęły się wyzwiska i pretensje, że jej córka zmieniła szkołę (musiała odejść za pijaństwo), że bez jej wiedzy, że to dziwka i tak dalej. Teatr na ulicy! Alfa uciekła do swojego pokoju. Matka dalej huzia! Mąż kazał się jej wynosić, policją postraszył. Poskutkowało. Rzuciła kilka niewybrednych „haseł” pod kierunkiem męża i z hukiem wsiadła do samochodu.

Pedagog nie ukrywał zdziwienia chociaż znał różne historie z życia uczniów. Doszliśmy do wniosku, że trzeba dać „młodej” szansę, może coś się odmieni.

Czas chwilowej odmiany....

Odmieniło się na chwilę. Chodziła do szkoły, odrabiała lekcje, przychodziła pogadać i pomagała w kuchni, słowem – miód, cud i orzeszki! Odmieniło się na kilka dni. Pokazała zdjęcia z dzieciństwa. Byłam w szoku - na zdjęciu miała 10 -12 lat, a umalowana była jak dorosła, farbowane włosy. Kto ci pozwolił na takie fanaberie? Spojrzała na mnie zdziwiona – mama! Każdego dnia snuła opowieści o kolejnych partnerach matki, o tym, że pewnego dnia ona sama przyprowadziła jakiegoś chłopaka do domu, na kilka dni, a matka się bardzo zdenerwowała. - Zazdrosna była, że ja mam chło-

paka, młodego i przystojnego. Wtedy po raz pierwszy kazała mi się wynieść. A ile wtedy miałaś lat- zapytałam - 15.

Kolejny dzień.....

Telefon (który to już od początku roku szkolnego?). Od szkolnego pedagoga. Czy Alfa jest w domu i ma się dobrze. Pytanie dziwne, więc zaczęłam podejrzewać, że coś tu nie gra. Zapewniłam, że leży w łóżku, kuruje gardło (w końcu gardło chore być musi jak się w cieniutkiej kurteczce w zimowe dni chodzi do szkoły). Pan wreszcie pyta, czy może przyjechać. Oczywiście, że tak - zaprosiłam. Przyjechało ich dwóch - pedagog i wychowawca. Poprosili o spotkanie z Alfą. Po 15 min zeszła naburmuszona. Wreszcie jeden zapytał, co jadła na kolację. Wymieniła kilka potraw. To na jakiej podstawie te smsy do koleżanek, że jesteś głodzona i przetrzymywana. - To były żarty - odpowiedziała z szerokim uśmiechem. We mnie zawrzało. Zawrzało też w tych dwóch panach. Dostało dziewczę bobu, ale nic sobie z tego nie robiło, śmiała się im w twarz. Naprawdę. Miała niezły ubaw.

Nie ten, nie tamten...

Do domu Alfę odprowadzało co chwilę jakiś bliżej nam nieznaną osobnik płci męskiej. Zaproponowałam, że mogłaby zapraszać chłopaków do domu, na herbatkę. Był w tym ukryty cel - dzięki takim wizytom mogłam zobaczyć z kim się zadaje. Pewnego dnia przyszła z jakimś wysokim, dzień dobry nawet powiedział. Zasiadł się, więc grzecznie poinformowałam o późnej godzinie. Takich kolegów było kilku i z każdym się „obściskowała i całowała” (to słowa dzieci). Porozmawiałam z nią o takim zachowaniu. Stwierdziła, że jestem staroświecka i zacofana. I że jest prawie dorosła i może robić co chce. Muszę tylko nadmienić, że do szkoły chodziła z jednym zeszytem, jedną prostownicą i kilkoma kredkami, do rysowania, ale nie na kartce czy zeszytach - takie do „mejkapu”.

Kolejny dzień...

Alfa przenosi się do innego miejsca - wagary, w szkole same rozróby. Poza tym wszystkich poinformowała, że zamieszka z tatą (tata za granicą) i tam to dopiero będzie życie! Szkoła jest jej do niczego potrzebna! Spakowała wszystkie jej ubrania, które gromadziła na strychu. Było tego 6 worków! Swoją szafę opróżniła sama, rozdała przy okazji kilka rzeczy współlokatorce, bo i tak kupi sobie nowe. Żadna z rzeczy już się jej nie podobała. Potrafiła nowe spodnie skrócić do długości kusych spodenek i kolejnego dnia zażądać innych. Dostawała pieniądze od ojca, mogła wydawać na co chciała i kiedy chciała! Przytuliła się sama na pożegnanie, przeprosiła za

wszystko. A w domu zrobiło się spokojniej, ciszej... czekaliśmy na nowego lub nową, z przydziału.

Kolejny dzień... smutny...

Moja córka nie chciała iść do szkoły, bo się boi samochodów, pociągów i autobusów. Trauma powypadkowa jak nic. Ciągle płakała lub spała... depresja? Szukam pomocy u innych, mądrzejszych. Instynkt nakazuje zająć się intensywniej, częściej przebywać, rozmawiać, otoczyć spokojem. Myślałam, że jest silna, że tamta sytuacja z potrąceniem już dawno poszła w niepamięć. Wcale nie była silna, była małą dziewczynką. Przestałam się przejmować innymi, zaczęłam dbać o moją córkę - zawoziłam do szkoły, przywoziłam ze szkoły, przeprowadzałam przez ulice, oswajałam z samochodami, autobusem. Nikt o tym nie wiedział, to była nasza rodzinna tajemnica.

Wakacje tuż tuż...

Mam nakaz wysłania dzieci na wakacje. Pytanie: skąd wziąć tyle pieniędzy? Dziesięć dzieciaków, każde po średnio 1200 zł, do tego jakieś ubrania, buty, itp. Jakaś fundacja oferuje wakacje, ale musi być tyle i tyle na dziecko. Przekraczamy magiczną sumę o zaledwie kilka złotych. Dzwonię do fundacji, pani przemiła, naświetlam sprawę. - A czy państwo jako opiekunowie, nie powinniście partycypować w kosztach wakacji? - zapytała i to całkiem poważnie. Zatkano mnie, zatkano! - Proszę pani - odpowiedziałam pospiesznie - proszę pani, my już nie mamy oszczędności, bo tutaj ciągle czegoś brakuje i trzeba dołożyć. Rzecz druga - mamy kredyt na mieszkanie, wie pani, trzeba go spłacać. Po trzecie - ostanie wakacje ja i nasze dzieci mieliśmy 8 lat temu i w tym roku też nigdzie nie pojedziemy, bo zwyczajnie nas nie stać. Pani zakłopotana obiecała wnieść jeszcze raz sprawę do prezesa. Dzieciaki pojechały na dwa tygodnie w Polskę, my siedzieliśmy w domu.

Pewnego dnia kilka słów skargi...

- Mamo, zaczęła jedna z córek, ja wiem, że oni mają ciężkie życie, ale dlaczego nic nie robią żeby je poprawić? Nie uczą się, nie mają zainteresowań, hobby, przyjaciół. Sama przecież mówiłaś, że mogliby mieć „wypasione” stypendium, gdyby tylko chcieli. - Nam też nie jest łatwo - kontynuowała - dziewczyny w szkole pytają się mnie jak to się mieszka w domu dziecka. Odpowiadam, że tragicznie, że są w domu często awantury, że się biją, że nas biją. Nie ma spokoju, aby się uczyć. Rodzice muszą ciągle interweniować, rozmawiać z nimi i dawać kary. A moje koleżanki na to, że jestem samolubna i rozkapryszona. A pamiętasz jak były paczki na święta z fundacji? Paczki były tylko dla dzieci-wychowanków, dla nas nie ma nic. A przecież mówi się,

ze mamy być rodziną. To co? Rodzina składa się z gorszych i lepszych dzieci? Albo wakacje. Mamusiu, ja nie narzekam, że nie macie pieniędzy na wakacje, ale czasami jest mi przykro, że oni, w sumie za jedynki i dwójki, w nagrodę mają wakacje i ferie. To jest niesprawiedliwe! I wiesz co - dodała - wszyscy mówią, że one są biedne, ale to nie jest prawda. One nie są biedne, mają was, swoje rodziny i instytucje. Gdzie tu sprawiedliwość? I wiesz co, nie cierpię jak grymaszą przy jedzeniu. Ja lubię wasze obiady. I nie chcę żadnych tłumaczeń. Ja też mogę czegoś nie chcieć zrozumieć. Nie i już!

Rodzinne superwizje...

Superwizje robiliśmy sobie w rodzinie albo wśród znajomych. Co niektórzy, ciekawi naszej nowej profesji, z wypiekami na twarzy słuchali jak snujemy opowieści o naszym domu. Z czasem temat stracił na atrakcyjności, a i zachowanie dzieciaków skutecznie wypędziło gości. Czasami chciałabym jak fryzjer króla Midasa - wykrzyzczyć wszystko! O!O!

Po kilku dniach refleksji...

Zaczęłam się zastanawiać nad odbiorem społecznym dzieci z placówek. Na pewno współczucie, na pewno żal. I wtyka taka batonika do łapki dziecka, bo „ono tak biednie patrzyło, bo pewnie głodne i zaniedbane”. Pewnego dnia jeden z chłopców zjadł bardzo obfite śniadanie. Widziałam co i ile zjadł, więc mogę powiedzieć, że zdecydowanie było ogromne jak na takiego dzieciaka. Na pierwszej lekcji, a był to wf, zaczął uskarżać się na ból brzucha. Poszedł do szkolnej pielęgniarki. Diagnoza była błyskawiczna - głód! Dostał obiad w szkolnej stołówce. Wrócił do domu zadowolony.

Wszelkie psychologiczne teorie oraz badania, stworzone po szeregu obserwacji i doświadczeń, mówią o zaburzeniach więzi, płodowym zespole alkoholowym, o traumie. I to wszystko ma miejsce. I nie ma ale, bo ktoś powiedział, że to przed ale nie będzie mieć znaczenia. To wszystko jest i zbiera swoje żniwo. Jeszcze kilka lat potrzebuję, aby zrozumieć dlaczego dzieciakom nic się nie chce! Albo chce się przez chwilę. Wychodzi po dziesięciu latach z placówki, wraca do rodzinnego domu z pieniędzmi na zagospodarowanie. Wiadomo, z takimi pieniędzmi mile widziany. A potem przeżywa szok, bo w lodówce ciągle tylko światło, nie ma codziennie obiadków i deserów, nikt nie upierze brudów, nikt nie posprząta.

Powinam czy nie muszę?

Ile to razy słyszałam – pani powinna to, to i tamto, bo dzieciak zdolny, bo potrzebuje, bo biedny i samotny, bo pokrzywdzony przez los. Zadań nie odrabia, powinna pani znaleźć kogoś wśród jego kolegów z klasy i pożyczać zeszyty. Heh, powinam też spać, jeść, zająć się też swoją rodziną, rozwijać

Kolejny...

Powinłam się zastanowić, czy ma jeszcze pomysł na życie pod jednym dachem z dziewiątką zaniedbanych dzieciaków? Pożeglować do innego portu? Na pozór wszystko dobrze, pomogą czasami jak się przymusi, lekcje czasami odrobią (jak się przymusi), jednakże czasami są tacy, tacy ... odpychający, nieprzewidywalni, okrutni.

Kolejny dzień, jeszcze nie ostatni...

W sumie nie wiem co pisać. Normalka - wieczorem, prawie przed dwudziestą drugą, jeden z naszych próbował rozwalić biurko, próbował „dla beki” zrzucić drugiego ze schodów. Normalka - krzyki, przepychanki, wspomnianie czegoś tam, łomotanie (nie dyskretne puknie) w drzwi łazienki, bo kolejka do mycia, bo siku. Gdybyśmy mieszkali w bloku - eksmisja murowana! Nikt nie czyta do poduszki, nie gra w planszówki, nie rozmawia po cichutku. Wszystko, co się nadarzyć się może przed ciszą nocną musi mieć odpowiednie nagłośnienie. Normalka, godzina dwudziesta druga, a ktoś informuje, że nie odrobił lekcji, bo mu się nie chciało. Dziewczyny wrzeszczą w pokoju na siebie, kłócą się o jakieś mało istotne rzeczy...

Mamo, powiedziała mi wczoraj jedna z córek - wróćmy do naszego domu. Mogę spać nawet na podłodze, bylebyśmy STĄD się wyprowadzili. Jeszcze trochę, to chyba zwariuję!

Bogumiła Richert

Do stacji -Przeszłość Główna

Deszcz dzwonił o szyby niczym w artystycznych filmach. Tak sobie pomyślała Blanka. Szkoda tylko, że akurat nie znajdowała się na seansie jakiegoś ckiego dzieła kinematografii, a w pociągu. Kolejny raz w pociągu. Pociąg stanowił definicję życia Blanki, scenariusz, choreografię i scenę. A w nim była Blanka, manekin rzucony przez kogoś, udający że przyszedł tu sam i z własnej woli. Nie od zawsze tak było, rzecz jasna. Ale w ciągu ostatnich ośmiu lat, było właśnie tak, nie inaczej.

Ktoś kiedyś powiedział, że człowiek sam sobie sterem i okrętem. Może i tak, ale należałoby dodać, że człowiek, istota niewiele wyżej odrastająca od ziemi niż jaszczurka, nie ma wpływu na sztormy, burze, usytuowanie skał, krę, wodorosty. Ani na tę siłę, która statek potrafi zepchnąć z wyznaczonego szlaku, ani na tę siłę, która potrafi wypalić dziury na jego pokładzie. Czasami, człowiek, ludzka istota mniejsza i słabsza niż byle jakie drzewo, nie może nawet przewidzieć, czy jego żagli nie przegryzą nieproszone szczury, albo jakiś nierozgarnięty majtek. Jedyne co jest pewne, to że jeśli odbijesz od brzegu, to koniec. Klamka zapadła, kobyłka u płotu. Musisz żeglować i kropka, choćbyś był najmarniejszym statkiem na całym oceanie. Tak właśnie Blanka myślała o sobie.

Stare gumy w oknach popeerelowskiego pociągu przeciekały. Strużki mokrego, tak bardzo mokrego, że aż lepkiego deszczu, ściekały po ściankach przedziału. Najlepsze miejsce - nie ma co - pomyślała Blanka. Normalnie, można by dodać, że pomyślała z wściekłością. Jednak Blanka nie przywiązała żadnych emocji do tych rozmyślań. Te lata tłuczenia się pociągami po Polsce sprawiły, że nic nie było w stanie jej zaskoczyć. A niechby nawet się spóźnił dwie godziny. Niechby w jakiejś małej pipidówce pomiędzy Toruniem a Kutnem kazali jej wysiadać i czekać na autobus. Niechby okna wybijały dzieciaki. Nic. Żadnych emocji. Z jednej strony, Blanka uważała że to całkiem dobrze, pozostawać bez emocji. Człowiek się czuje taki ponad. Ponad tym, ponad tymi ludźmi, którzy w przedziale klną na koleje, wy-

dzwanianą do męża, dziecka, dziewczyny, szefa i Bóg wie kogo. Ponad tym wszystkim, wywyższony i godny. Choć to tylko głupia podróż z punktu A do punktu B, z B do A, którego za miesiąc, tydzień albo już jutro w ogóle może nie być na powierzchni ziemi a tym bardziej - na mapie. Podróż jedna z wielu. I śmiać się chce, że praca w terenie, poza biurkiem jest zawsze reklamowana możliwością ciągłych zmian, dalekich podróży i przygód. No jasne. Tylko małym druczkiem nigdzie nie piszą, że po jakimś czasie każda praca staje się monotonna. Po jakimś czasie, każda podróż wydaje się gubić swój cel.

Sprawa braku tych emocji, miała jednakże jeszcze jedną stronę. Już tę gorszą, naturalnie. Powodowała bowiem, że czas przejazdu, wolnego jak sto tysięcy złotych w korku, ciągnął się niemiłosiernie, w ponurej i lepkiej, jak ten cholerny deszcz, nudzie. Wszystko już widziała, żadnych zaskoczeń. Każda rozmowa pasażerów, niezależnie od wieku, wymiarów i płci miała zakończenie przewidywalne jak to, że od poniedziałku do piątku w telewizji jest Moda na Sukces. Nuda. Nuda, nudnista.

Przewidywalność i monotonia wprost proporcjonalnie odwrotna do tej, której chciałaby w swoim życiu. Blanka doszła do wniosku, że nie może nawet zapisać się do dentysty. Bo skąd niby miałyby wiedzieć, gdzie akurat będzie za miesiąc. I co akurat będzie robić. Pewne było to, że nic wielkiego i ważnego dla jej życia, a zwłaszcza nic interesującego. I pewne było to, że będzie to musiała zrobić, choćby się przykuła do bramy jakiegoś ministerstwa i zaparła.

A, no i jeszcze ten deszcz. Jesienny. Ale nie jak ten z piosenki, tylko brudny, lepki i zimny. Zaduch w przedziale powodował, że Blanka ani nie mogła myśleć o niczym poważnym, ani zasnąć, ani nie spać. 7 obcych osób, ścieśnionych na tej małej, groteskowej powierzchni żelaznej puszki wagonu, przeszkadzało dziś Blance jak nigdy - a do tego powinna się już była przyzwyczaić. Jadąc co kilka dni tą samą polską koleją, trasami - obecnie mozolnie i leniwie restrukty, restrukturu, restrukturyzowanymi, czy jak to się tam pisze na tablicach unii europejskiej, powinna przecież się już przyzwyczaić. Zawsze pociąg świętek, piątek, Dworzec Centralny, linia TLK, nie mylić z IC, ECC, WKD, Regio i SKM (TLK- bo najtańsza). Z powrotem - niedziela, czasem wtorek, Dworzec Różny, byle z TLK (bo najtaniej). I zawsze ta rzesza ludzi. Niby różnych, ale ciągle takich samych. A to babka w odwiedzinach do syna.

A to w podróży służbowej z iPadem, iPodem, iMac-iem i prawdopodobnie iMózgiem. A to na koncert, z koncertu, z poboru, imprezy, urodzin, pogrzebu, i ble ble ble, Wiecznie to samo.

Dobrze, że chociaż wzięła tę małą, granatową torbę. Z dużym bagażem to człowieka mógłby jasny szlag trafić. Rozpychają się ci z Okęcia. Gdzie ci ludzie latają, to ciężko stwierdzić. Blanka wyobrażała sobie, że w takiej torbie, jaką ten facet z siedzenia po środku, wtaszczył na górę, to musiał chyba pralkę przewozić, albo wielbłąda. Przynajmniej ona by tam wielbłąda zmieściła. Gdyby oczywiście miała możliwość mieć wielbłąda. To kuriozalne, ale jakoś nigdy nawet nie miała chomika. A tak się jej zdawało, że wielbłąd mógłby to być całkiem ciekawy towarzysz podróży. A przynajmniej niewymagający. Nie to co ludzie.

A ta Cyganka, co zapobiegawczo zajęła sobie miejsce przy drzwiach? Dwie wielkie torby, takie typowe torby, jakie oni wszyscy mają na bazarach. A w środku mydło i powidło i co tam jeszcze się udało wziąć. Mydło i powidło. Tak Blanka miała w zwyczaju odpowiadać, kiedy ktoś ją pytał co robi. To i tamto. Czasem tu pojedzie, czasem tam. A jaki zawód? Tak miały w zwyczaju pytać rozliczne ciotki klotki, wujki i przygodnie poznani nieznajomi. Żeby uniknąć rozlicznych tłumaczeń, że dla tego zawodu nazwy jeszcze nie ma, ale kiedyś będzie, albo i nie, że to wolny zawód, rzecz jasna, ale trochę zniewalający, mówiła po prostu, że „dziennikarzy” trochę i już. De facto jej zawód też był wolny. No cóż, związana fałszywymi kontraktami, umowami, rozmowami - prawie bez urlopu, ale zawód wolny, nie ma co. No i przeżyć się za te grosze da.

Blanka miała tylko małą tradycyjną torbę weekendową. Wnętrze zawsze w tym samym składzie. W stronę „do”: poskładane w kostkę dwie bluzki z krótkim rękawkiem (w krypto kręgach nazywane Tshirtami), elegancko złożone jeansy czarne par jedna. Sukienka i szpilki „w razie czego”. Pod tym wszystkim, uprasowane coś do spania. A jeszcze pod nimi, czyli na samiusieńkim dnie, wciśnięta w ką, róg i kant - bielizna. No i kosmetyki, na wierzchu. Kosmetyki, nadmienić wypada - zestaw wyjazdowy, skrócony: aerozol, triklosan, EdP, glikol propylenowy i thimerosal - w różnych opakowaniach. W drodze „z”: wszystko to samo tylko pogniecione, zmiętoszone i upchnięte. No i w obie strony: mała torebka podręczna z książką, portfelem i telefonem, pakowane w tej kolejności. I to wszystko.

Wszystko zaś przyda się *tam*, tym razem *tam* - znaczy Gdańsk. Zawsze *tam*, to gdzie indziej, ale dzisiaj *tam* to właśnie *tam*. W podróży do Gdańska, Blanka sobie myśli, że jak zawsze ma pecha - jechać w przedziale z jakąś parką. Migdali to się, aż serce się kraje. Bo co taki biedny, głupi, zakochany może. Miłość jak choroba otepia, osłabia, aż przechodzi, albo nie. Ale do grobu zawsze przybliży. I zawsze kłuje, świdruje, boli tak, że nawet Apap zmieszany z Ibumem, ba, nawet Ketanol Forte nie pomaga.

A ta parka, co to akurat naprzeciwko Blanki siedzi, chociaż właściwie nie siedzi spokojnie tylko się kręci, wierci, przekręca wykręca i co najgorsze - nakręca. Od razu widać, że tradycyjna parka, rodem z Freuda. On - głowa tego dwugłowego stwora - przy oknie. Ha. I dobrze mu tak, dobrze. Lepki deszcz, spływa mu tam pewnie po karku (niewidocznym dla gołego oka, ale wedle teorii anatomicznych - obecnym z tyłu, pomiędzy głową a niewygodnym oparciem siedziska). Ona - pomiędzy nim, a facetem (tym z torbą z wielbłądem), ściśnięta, ale tylko w połowie. Druga połowa (ta w 2 miejscach wypukła) zatopiona w jej drugiej połówce (bądź co bądź też wypukłej). I szczebioczą, jakby co dopiero poznali się na imprezie, gdzie wedle Blanki przypuszczeń, w istocie się poznali. A przynajmniej poznali tak, jak się poznać mogą ci, których zmysły poznawcze są zaburzone pod wpływem kolorowych metanolów i wiecznego pędu biologicznego.

Nuda w każdym razie, jak najnudniejsza. Naprzeciwko Cyganki - śpiąca jegomościni, kątem oka zauważyła Blanka. I dobrze, że śpi. Taka to, jakby się obudziła, to od razu musi opowiadać o synku, maminsynku, wnuczce, sąsiadce, sąsiadce synowej i samej synowej, co to jej nie stać na opiekunkę, bo one teraz sobie życzą 1500 za miesiąc, więc musi dziecko posyłać do przedszkola. To chodzi o to ekologiczne na Wawrze, co to było w zeszłym tygodniu na TVN-ie w śniadaniu na pytanie.

Blanka miała, apropo's, okazję (wątpliwą przyjemność) popracować kilkakrotnie z dziennikarzami, chociaż dziennikarzem, wbrew temu co mówiła ciotkom klotkom, nie była. Dziennikarzami różnymi, choć właściwie - nie. Wszyscy oni są raczej - jednakowi. Ambitni, nigdy nie mają czasu, egocentryczni, mili i niemili za razem. Ludzie sukcesu, pełni bliżej nie identyfikowalnych żądz. Tylko jednego im Blanka zazdrościła - że mają swój port. Biegają za reportażami, jeżdżą, lecą, kręcą, ale zawsze na koniec zlecenia - ta spokojna przystań - studio, montaż, skład, nagranie. A ona? Sama sobie okrętem, ale bez portu. Czasami ludzie, co jest absurdalne, zazdrościli jej portu, który dość mylnie interpretowali. Że niby powinna się cieszyć, bo przecież ma jakieś mieszkanie (wynajęte), jakiś dach nad głową (cienki), pod który sobie wraca (rzadko). Może i była w tym część prawdy, że to jakiś pomost, molo albo dok. Ale na pewno nie był to dom. Bo, czy można domem nazwać miejsce, gdzie się tylko śpi, kąpie i nie je. Gdzie się przebywa tylko czasami od północy do poranku, jeśli jest na to zgoda z góry? Wątpliwe. I jeszcze to ani własne, ani umeblowane, ani nikt tam na nikogo nie czeka, ani się tam z przyjemnością nie wraca. Taki dziennikarz, to zawsze ma jakiś dom. Zawsze kiedy Blanka rozmawia z jakimś dziennikarzem, a raczej kiedy grają

przed sobą obopólne zainteresowanie, ktoś bliski tego dziennikarza albo znajomy dzwoni i mówi, że czeka. Dlatego dziennikarz zawsze się spieszy. To dziwne, bo Blanka też.

Obok jegomości, siedzi jakiś ciemny typek, ale bardziej pasowałoby stwierdzenie „wisi”. Wysoki, włosy czarne, przyklejone do twarzy, wiszą z góry na dół. W uszach wiszą słuchawki, a raczej słuchawy z wiszącym kablem. Na bluzie, która też jakoś tak na nim wisi, jakieś napisy, cekiny, albo i nity. Taki tam sezonowy wyznawca szatana. Nuda. Nuda najbanalniejsza. No i ten facet obok. Widać, że służbowo, że wyjeżdża, na krótko. Obrączka złota, z pięć lat małżeństwa, córka, syn, teściowa i kochanka. Siłownia, solarium, pomada na włosach, przystojny ale zupełnie zwyczajnie. Nuuu - da, da.

No i Blanka. Co chwila w trasie. Gdyby tak chociaż można przelecieć, tę trasę rzecz jasna, albo przepłynąć. Cokolwiek, byle zamordować tę wredną, niepojętą monotonię podróży. Ale nie, na lot to trzeba mieć pieniądze, a i stalowe nerwy i dobry zawód i dobry powód. Tak mówią w pociągach, kiedy się chwala tymi podróżami, że to z Kenii, Irlandii, Rzymu wraca i że te loty to takie męczące, a zawsze takie na odwal - jak koleje (polskie ma się rozumieć). Bo panie, jak się niemiecką koleją jedzie, to aż zatyka, tak szybko i żadnego problemu. A to, że tam czasem wyzywają polaczków, a co to takiego, człowiek przyzwyczajony, wszędzie wyzywają, to co to za różnica. A komfort - działa, jakby to powiedział Załucki. Wie pan, a Załucki to w ogóle do mojej ciotki kiedyś przyjeżdżał i te de i te pe i te be. I te en - nuda.

Blanka lubiła Załuckiego. Wesoły człowiek, miłe wiersze i bardzo zabawne. Niestety nie znała nikogo kto by go też lubił i z kim można by się pośmiać z jego subtelnych żartów. Ogólnie, Blanka nie znała nikogo z kim można by było się pośmiać, popłakać, popleść bzdury, wpaść w dyskurs, zjeść albo wypić i milczeć. Kiedyś, dawno temu, Blanka miała jeszcze nadzieję, że znajdzie przyjaciół. Na studiach, albo w pracy, albo po pracy. Niestety mimo, iż miała kilkaset numerów telefonów, codziennie kilka maili do wysłania, spotkań do odpękania, żadna z rozmów nie była dla niej przyjemnością. Zawodowo - setki kontaktów, prywatnie - żadnych.

Nie wie pan kiedy Gdańsk? Jeszcze pięć godzin i będzie. I z czego się tu cieszyć, zauważyła Blanka w myślach, oczywiście - jakby tylko odpowiedzieć takim pasażerom na głos, to od razu się zaczyna zdanie takie, zdanie inne i kłótnia gotowa. A taki przedział kłócący - to już pozał się Boże, afera. I spać się nie da i nie spać też nie. Dlatego Blanka odpowiadała, ale w myślach i to samej sobie - jak zawsze. Gdańsk Blanka znała jak własną kieszeń. Wąskie uliczki, Brama Zielona, Żłota, zardzewiała, krótkie uliczki, Długa, Motława,

przystań i sklepy z bursztynem i imitacją. Piękne kamieniczki, to prawda, chociaż - ostentacyjnie niemieckie. Ale piękne. Dawno temu, Blanka miała tu nawet znajomych. Takich prawdziwych, jak na jej realia. Takich, z którymi rozmawiała i nawet raz czy dwa gdzieś wyszła. Każdy kiedyś musi zmienić otoczenie, wyrosnąć i zarosnąć. Może to nawet lepiej.

Wczoraj, kiedy Blanka dowiedziała się z maila, że jedzie właśnie do Gdańska, zaświtała jej myśl, żeby spróbować odmówić. Żeby nie być wystawioną na pokuszenie, na to, że niechciana myśl zacznie się kłębić w jej umyśle. Zacznie go zniewalać, zakuwać w kajdany. A to rzutowałoby na zlecenie. Ale nie mogła odmówić. Nie było takiej możliwości i to dlatego, że tak właśnie wtedy, dawno temu sobie postanowiła. Chociaż postanawiała teoretycznie zupełnie coś innego. Więc już wiedziała, że jak tylko zobaczy pierwsze ceglane budynki, widoczne od strony Tczewa, zapragnie odwiedzić miejsce, w którym kiedyś bywała. Trochę daleko od Gdańska, ale Gdańsk to już to. To już to miejsce, to już ten region, który ktoś kiedyś nazwał - przeszłością. Wiedziała, że myśl o byciu tam, daleko od Gdańska, ale zawsze bliżej niż z Krakowa, albo z Kielc, będzie ją po raz pierwszy od kilkunastu lat, prześladować. Miejsce to, tak upragnione i jednocześnie tak bardzo zniechęcające, wyznaczał długi wąwóz, ciągnący się wzdłuż morza, niedaleko Władysławowa. Piękna, przepiękna okolica. Bez turystów, wolna, orzeźwiająca i spokojna. Tam, w jakimś innym, poprzednim, zapomnianym życiu, odbywała długie spacerunki. A może to było w jakichś baśniach albo sennych marzeniach? Tak odległe, że nierealne. Ale nie, to nie mógł być sen czy koszmar, wymysł ani opowiadanie, ponieważ to tam podejmowała wszystkie decyzje, które w dziwnym zbiegu okoliczności zaprowadziły ją aż do tego pociągu, tu i teraz, dzisiaj w tym ubraniu i w tej podróży.

Wspomnienie tego miejsca, Blanka od wczoraj starała się zagłuszyć. Nie myślała też o nim w pociągu, aż do teraz, cholera jasna. I teraz to koniec - wiedziała. Przez następne cztery godziny, w zatłoczonym pociągu Kraków Płaszów- Kołobrzeg, wąwóz, ciepły piasek plaży i korony drzew, przez które słońce przedzierało się z klifu w dół, nie będą chciały zamazać się w pamięci.

I jeszcze ta sylwetka. Ten cień, który długą czarną smugą kładł się od brzegu plaży i kończył w wodzie, tuż przy linii pierwszych większych fal. Tuż tuż, przy jej własnym cieniu, dużo krótszym, płytszym i skierowanym dalej od słońca. Ciężko wymazać ten obraz z pamięci. Tak bolesny, że aż czasami słodki i przyjemny. Tak słodki, ciepły, że chciałoby się go unikać, wyminąć, przejść albo podeptać.

Była wtedy dość młoda. Trochę młoda, ale nie za bardzo. On miał więcej lat i oleju w głowie, doświadczenia, wzrostu i pomysłów. Ufała mu i wiedziała, że może mu powierzyć wszystkie swoje troski, wszystkie decyzje, których sama nie umiała podjąć. Wiedziała, że nigdy by jej nie zawiodł, że była centrum jego świata i, że to nigdy by się nie zmieniło. Chciałaby, żeby spacer po wąwozie nigdy się nie kończyły. Żeby pływanie starym kutrem, który do połowy zatopiony był w piasku, i który trzeba było z oporem wyciągać we dwoje, nigdy nie trwało tylko dwie lub trzy godziny, ale do końca świata, do powtórnego chaosu, który złączyłby ich i morze i Ziemię i niebo i piekło.

Ach, wąwóz. Dryfowanie kutrem przy samym brzegu, na leżąco. Z głową skierowaną do słońca. I te długie, ale jak pozornie krótkie, rozmowy o życiu, celach i bezcelowości decydowania. To tam postanowiła sobie, że musi wyjechać i być jak najdalej. I nigdy nie wrócić i nigdy nie obejrzeć się za siebie. Uciec, zatracić się w pracy i nie marzyć, że mogło być inaczej.

Jeden ciepły, sierpniowy, a może już wrześnieowy wieczór na kutrze. Ostatni, wryty w pamięć, zaważył na tym, gdzie i kim teraz jest. To ten wieczór zdecydował, że jest w pociągu Kraków Płaszów - Kołobrzeg, że nie ma nikogo, że nie ma celu ani spełnienia.

Blanka ocknęła się z letargu tych wspomnień, jak ktoś, kto przed chwilą omdlał z bólu i budzi się by poczuć go jeszcze dotkliwiej. Kłucie i drzenie utwierdziło ją w przekonaniu, że została otwarta gorejąca rana, którą dotąd czuć było tylko przy dotknięciu. Nie bolało, gdy zajęta była życiem innych, obcych, szarych, jednolitych, nieznanym, nic jej nie obchodzących. Mogła odmówić, nie przyjąć zlecenia nad morzem. Tak sobie pomyślała, natychmiast zaprzeczając. Jakżeby mogła odmówić Jej praca była obowiązkiem, który musiała wykonać. Bo tak zdecydowała wtedy, w wąwozie na kutrze. Wtedy, kiedy prosto w oczy po raz ostatni skłamała jemu - cieniowi, rzucenemu prosto na jej twarz. Kiedy zapytał, czy zostanie, na zawsze i póki śmierć...

To był początek. Pierwszy krok na trap masztowca, który niesie ją do dziś. Od tamtej pory codziennie, bez dnia przerwy, mówiła ludziom to, czego właśnie nie myślała. Kłamała bezczelnie i z całą odpowiedzialnością w sprawie słusznej lub niesłusznej, obiektywnej, subiektywnej, niewiadomej. Przy obcych - to takie proste jak życie, jak oddychanie. Naturalne i przyrodzone.

Teraz też, mogłaby Cygance powiedzieć, że tu wszyscy są tolerancyjni, żadnych uprzedzeń. Parce, że ich miłość jest głęboka i wieczna. Jegomościni,

że to bardzo ciekawe co mówi. A panu od walizki z wielbłądem, że nikomu przecież ten bagaż nie zawadza. Tylko dlaczego skłamała wtedy, jemu?

A może nie skłamała. Może wcale nie myślała na odwrót, tylko wierzyła we własne słowa, wypowiedziane jednym tchem, cichym, schrypniętym tchem raczej niż głosem. Może skłamała tylko sobie, tylko raz. Następnego poranka, kiedy spakowała jedną walizkę, kupiła bilet, zmieniła numer i zdecydowała, że tak będzie lepiej. Że już nigdy nie wróci, nie potrzebuje, że to nie był cel jej życia, że gdyby inaczej... że bolałoby, raniło.

Cudze życia są nieciekawe. Szare, nieistotne dla nikogo, cokolwiek ludzie albo dziennikarze o tym mówią. Tylko życie Blanki było ważne i to tylko dla niej samej i to tylko dawno temu, przed decyzją o porzuceniu tego życia. To co robiła, bez tożsamości, albo raczej z nadmiarem tożsamości, wyzuło ją z własnej duszy, emocji, pragnień. Pozbawiło celu jej podróz. Zamieniło każdą chwilę jej życia, a raczej - nie jej, a kogoś innego, jakiejś istoty, która myślała jej umysłem i korzystała z jej zmysłów - w obowiązek, którego nie można porzucić. Druga tożsamość, której nie można się pozbyć, z której nie można się wycofać i ta pierwsza - o której należy zapomnieć, skoro tak się zdecydowało dawno temu i skoro tak się zobowiązało nie przed szefostwem - ale przed sobą i przed Najjaśniejszą Rzeczpospolitą.

Jeszcze godzina (ale pewnie półtora), i pociąg dotrze na peron Gdańsk Główny. Trzeba będzie wsiąść i wyjść i dojść. A potem słuchać i udawać, mówić i dalej udawać i nie zastanawiać się nad niczym. A potem wsiąść w pociąg i wrócić i zostawić to, co się zostawiło tutaj dawno temu, na zawsze a może i nie. Wszyscy ludzie w tym przedziale, gdyby tylko mogli sobie wyobrazić, gdyby tylko wiedzieli cokolwiek - jednogłośnie orzekliby, że takiej jak Blanka to fajnie. Każde z nich, powiedziałyby jak to musi ciężko żyć. Blanka pomyślałaby wtedy sobie, że przecież życie obowiązkiem nie jest. O tym była przekonana.

Deszcz jakby przestał padać. Strużki mokre i lepkie nie spływały już po siedzeniu. Teraz tylko drobne kropelki na szybie odrywał pęd pociągu, wiatr a może i jakiś Bóg. Jakie podobne te kropelki do niej samej i do każdego kto siedzi w tym przedziale. Nic nie znaczące. Przed chwilą spadły, potrząsły się chwilę i już coś je pcha dalej, odrywa, przenosi, wrzuca we wspólną kałużę, nie wiadomo gdzie.

Tego ją nauczyli kiedy poddawali ją próbom. Dokładnie pamiętała słowa swojego opiekuna, kiedy już wiedziała, że tak, że ma szansę żyć tak, żeby nie myśleć i nie pamiętać, i nawet bać się przypomnieć sobie - że było się kimś

innym. Powiedział jej wtedy, że jeśli się zdecyduje i to musi pamiętać o jednym. Kłamstwa, zdrady, udawanie, wieczny, całodobowy teatr to nic. Ale jeśli już powie tak, święte, którego ani śmierć ani wolna wola ani Bóg nawet nie może unieważnić, to ma sobie wbić w mózg, jak najgłębiej, gorącym żelazem wypalić świadomość, że teraz jej życie nie będzie dla nich wiele warte, ani dla niej żyć nie będzie żadną koniecznością, od teraz Navigare necesse est. Necesse.

A więc Gdańsk, może nie tylko dziś, może za tydzień znów. Bez emocji, bez rozmyślań, bez niechęci. Choćby nie wiem jak bolało, choćby przypominało, wąwóz, cień, obietnicę, siebie - Navigare necesse est.

Lidia Zdzitowiecka

Nagroda Prezesa ZG ZKP w kategorii dorosłych

29 rujana

Pioter òbùdzël sã czej smrok jesz nie pòzwòliwòł na spòkójné chòdzenié pò jizbie. Wstòwającë z wëra, spòzdrzòł na zédzër, jaczégò wiòlgò wskòzówka prawie co wskòczëła na plac z numrã 12. Bëła czwiòrtò nad renã. Chłòp wstòł z wëra. Czuł, jak rosce w nim chãc na jigrë. Pòdchòdającë do òkna miòł starã jic jak nôcësi, cobë nie zbùdzëc Wiolettë. Za òknã swiecëlë lampë gardu, jaczé roswietliwalë Galeriã na Przimòrzim. Widnik zasłoniwòł nôdlëgszi z walòfców Eùropë. Padòł dëszcz.

Chłòp òbezdrrzòł sã w starnã wëra na jaczim leza rozebloklò Wioletta.

- Jes mòjim nôwikszim szczescym - ùsmiëchnął sã. - Chto bë pòmëslòł, że to ju miesąc pò najim zdënkù...

Nymò, że to prawie bez robòtã Wiolettë nie dozdelë sã za jich "miodnym miesacã", ni miòł ji tegò za złé, a chcòł, zebë nen slòdny dzéń tradycijnégò fejrowaniò òzënkù bëł dlò ni òsoblëwie ùdóny.

- Spi Mùlkù... - cëchò szepnął w ji starnã.

Na zemi nalòzł swòjã bielëznã ë wcygnął ją na se. Zòs w cësze pòszedł do kùchnie, dze pòd sòmim òknã stoja lodownica. Wëcygnął z ni zëmnią pepsi. Napił sã, cobë përzna òchłònac. Rozpòlenie spadło. Zòs spòł.

Piotra zbùdzëło cknienié ceplégò lasu òb lato. Òdemknął òczë. W nym sztóce włosë Wiolettë zakrëtlë wid, a òn pòczël ji słodczë lëpë na swòji gãbie.

- Wszystkiego najlepszego! - rozsmiałë sã ji òczë. Chłop spòzdrzòł zaspòny na nią.

- Wszystkiego najlepszego, Kochana. - przëcësnał ją do se. - Ale miałem piëkny sen...

- No opowiadaj, co ci sië śniło? - spëtała ju leżacë przë nim. Ji piersë òbcërałë sã ò jegò brzëch.

- Że w końcu dorobiliśmy sië gromadki dzieci i piëknego domku pod lasem na Kaszubach. - rzeknał ju barzi òżëwióny Pioter, òdwrócywajacë sã nad Wiolettã ë kùszkajacë ją pò szëji.

- Oj, przestań już! Wiesz, że muszë sië zbierać, bo spóźnie sië do pracy!

- Ale ta chwila cië nie zbawi... - nie pòddówòł sã.

- Oj... No już. - wëskòczëła z wëra smiejacë sã z mùnie, jaką robił wcyg proszacy chłop. - Poczekaj z tym do wieczora.

- Trzymam cië za słowo, piëkna! - ùśmiechnął sã do ni, wzërajacë jak pòdnosi ze zemi swòje ruchna ë sznëkrëje za jinyma pò szafach w jizbie.

Pioter miòł jesz dwie gòdznë zanim mùszòł sã zbiérac do robòtë. Ani sã òbezdrzòł jak Wioletta bëła przëszëkòwónò ë wëchòda z jich chëczë.

- Miłej pracy Kochana.

- Wzajemnie! - pòdeszła do niego ë kùszna gò na òddzekòwanié. - Kocham cië.

- I ja ciebie kocham.

Wëszła. Chłop leżòł jesz we wërze ë rozmëslòł nad dzysdniowim wieczorã. Ju w ùszłim tidzeniu zdązël òbsztëlowac dlò nich dwa place w Mestwinie. To prawie tam sã pòznelë, tam téz sã ji òswiòdzcil łóńszëgò rokù. Mòłò wieczera, spacer nad Mòtlawã ë wino doma - miałë bëc kluczã do szczestlëwëgò skùńczeniò "miodnëch" trzëdzescë dniów pò jejich slëbie.

- Na sóm kùńc przëndzemë ju do naszëgò niewiòldzëgò wëra - brzãtwil, ùsmiëwajacë sã do se w mëslach.

Wstòł z wëra ë pòszedł sã wëszlapac pòd prisznicã. Òpòrządzël w jizbie dze mielë łózkò, zdrëlnik ë stół kòl òknów. Òdemknął dwiërze na balkón, cobë wpùszczëc swiëzëgò lëftu do chëczë. Zazdrzòł jesz do jizbë w jaczi mielë pòspólny plac do robòtë kòl kòmpùtra ë trzimelë swòje ksążczy na pòlëcach. Wëcygnął ze sztrómù róter òd jinternëtë. Spòzdrzòł na zédzër, jesz bëł czas. Zjòdł pòrà klapsztulów, pòzamëkòł òkna ë òblòkł sã do wińscò. Spròwdzël czë mò kluczë òd autòła, telefón, papiórë.

- Wszëtkò? - spëtòł sóm se. - Wszëtkò. - òdpòwiedzòł wëchòdającë z chëczë.

I jak tam robota Mulku? ;) - wësłòł smsa czej ju dojachòł do radnicë, w jaczi robił. Pioter bël sparłãczony z promòcjã gardu, w jaczi miòł starã ò pòkazywanié kùlturë rozmajitëch nôrodów zëjącëch kòl wpliwù Wisłë do Bòłtu.

- Dzysò mùszã spròwdzëc czë są ju rozeszłé wszëtczé biljetë z ZKMù z jinstukcjama w rozmajitëch jãzëkach... A jesz je sprawa nech tòflów na autòtlë z kaszëbsczim nôdpisã... - mësłòł nad warkòwima sprawama pò sadnienim w swòji robòcy jizbie. W radnicë robił ju drëdzi rok. Rëchli, òb czas sztudé-rowaniégò bël tuwò na stażim.

Pioter zajimòł sã zbiëranim wiadłòw ò wszëtczim, cëz dzeje sã w miesce ë je sparłãczoné z kùlturã. Wiadła taczé rozsyłòł do rozmajitëch placów, midzë jinszima do gazétników a téz do ceńtrów kùlturë, cobë tamti jinfòrmowelë ò tim mieszkénców ë swiat. W wòlnym czasu spròwdzywòł swòje starnë na spòlëznowëch pòrtalach. Wcyg miòł włączoné mòleznowé radio.

- Tragiczny wypadek w centrum miasta. 29 osób nie żyje, 10 jest w stanie krytycznym - ùczël gòs dochòdający z radia.

- Jenëseja, cëz sã stało...- òprzestòł mëslec ò robòce ë skònceńtrówòł sã na slëchanim wiadła.

- 29 osób zginëło w tragicznym wypadku drogowym w centrum miasta. W godzinach porannych na skrzyżowaniu ul. Mickiewicza z Aleją Legionów doszło do zderzenia tramwaju z cysterną przewożącą benzynę. Ze wstępných ustaleń policji wynika, iż powodem wypadku był niesprawny układ hamulcowy cysterny, która uderzyła w bok tramwaju. W wyniku uderzenia zapłonęła kabina pojazdu, a ogień przeniósł się na cysternę. Jak poinformowali nas strażacy z Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej, ogień strawił zbiornik, po czym nastąpił wybuch, który ostatecznie przyczynił się do śmierci 29 pasażerów tramwaju, uwięzionych w pojeździe. W wyniku wybuchu cysterny 10 osób znajdujących się w pobliżu miejsca wypadku odniosło poważne obrażenia. Stan poszkodowanych jest krytyczny, a nad ich życiem czuwają lekarze ze Szpitalnego Oddziału Ratunkowego Pomorskiego Centrum Traumatologicznego. W tramwaju linii numer 8 znajdowały się także dzieci, które były w drodze do szkół.

W mieszkaniu Piotra ë Wiolettë bëło ju cernno. Do chëczë wszedł chłop. Stanął w môlu stôwającë ledwò dwa kroczi wprzódk òd pargù. Z jegò rãków wëlecałë klucze òd chëczë, kòmórkòwi telefón ë aktówka. Chłop bezkrafno spòdł na kòlana ë òpiérającë sã rãkama ò scanã zniżiwòł sã do pòdłodzi. Pò licach lecałë łzë. Sóm nie wiedzòł ò czim òb nen czas mëslòł, ani kùli czasu tak klãczòł. Czël leno niezrozmiãłã cësã, felënk jednegò, co zdòwa sã bëc wszëtczim. Kù reszce rësził w czerënkù przedny jizbë, z zamknionyma òcza-ma, nie wzérającë na wszëtckò co przëbòczywało mù blòs ò jednym. Ò ni. Czej ju doszedł na sztërzëch w òkòlë wëra, nalòzł kùnòszk mòcë, cobë wlëzc na łòzkò ë legnac sã bez chãcë do niczëgò. Za òknama ùczël szëm wiatru. W nym sztòce przëbòczyło sã mù prawie to, w cëz przòdë wierzëlë rëbòcë.

- Czë to mòze bëc pròwda? - zaczął sã zamësliwac wzérającë na biòłi sufit. - Czë pò pròwdze, czej òdchòdómë, tej jidzemë w niekùnãczãcã sã wanogã, w nôbarzi krëjamné starnë wszëtczich nieznónëch wòdów?

Zdòwa mù sã, że żeglëje pò mòrzim we wëstrzódkù nocë, że lezi w bòce ë ni mòze sã nawetka letkò zrëszyć, bò bôt sã chilnie, a tej wëpòdnie prosto w cernã wòdã. Ë tedë ùczël głos jakbë midzë szëmã wòdë a wiatru.

- Jeżlë chcësz żebë żëła, wëskòczë z negò bôta...

Chłop òdemknął òczë. Stojòł nad wërã trzëmającë przëcësniomy do lewi rãczy nóz. Ni mëslãcë nad tim cëz robi, pòcygnął òstrim kùnãcã w gòrã rãczy. Pòdł na wëro. Pòd rãkã pòczël ceplã wòdã ë cknienie solë w lëfce. Wëro zòs sã kòlibało.

Pioter òbùdzël sã czej smrok jesz nie pòzwòliwòł na spòkójné chòdzenie pò jizbie. Wstòwającë z wëra, spòzdrzòł na zédzër, jaczëgò wiòlgò wskòzówka prawie co wskòczyła na plac z numrã 12. Bëła czwiòrtò nad renã. Chłop wstòł z wëra. Czuł, jak rosce w nim chãc na jigrë. Pòdchòdającë do òkna miòł starã jic jak nòcësi, cobë nie zbùdzëc Wiolettë. Za òknã swiecëlë lampë gardu, jaczë roswietliwalë Galeriã na Przimòrzim. Widnik zasłoniwòł nòdlëgszi z walòfców Eùropë. Na bezkòmùdnym niebie bëło widzec pòrã gwizdów.

Chłop òbezdrzòł sã w starnã wëra, jakbë ò czims so przëbòczywającë. Na wërze leza rozeblokòłò Wioletta. Wzëra na niegò zelonyma slëpiama, zachãcywającë do te, żebë do ni przëszedł.

Pioter wszedł na wëro, pòchiliwającë sã na sztërzëch nad białkã. Wioletta ùsmiëchna sã do niegò. Zòczął ją kùszkac. Ni mëslòł ju ò niczim.

Mateusz Meyer

Dôka

Wëstãpiwają:

Familia Naczków:

- Naczk
- Naczkòwô
- Córka
- Syn

Sąsôdczi Naczków, starszé

- Derdowskô
- Majkòwskô
- Czerownik banë
- Banowi
- Sanitariuszowie: pierszi i drëdźi

Reno, midzë rondã a kòscołã gdzes we Wejrowie, na zymkù

Derdowskô

- W radio gôdelë to je wszëtkò wina Tuska, jo... To całë globalné òceplenié...

Majkòwskô

- ...że wczora ZUS zbankrutowôł...

Derdowskô

- ...że brifka sã zôs z réntã spóźnił...

Majkòwskô

- ...że Naczcze so kùpilë nowi autół...

Derdowskô

- Jo? Jakùż to? Tec mają kreditów na 50. lat wzãté a òna le doma sedzy...!

Majkòwskô

- Jô nick nie wiém. Mie nie pitôj. Pòdobno jegò cotka szła na nen swiat. Òstawia spòdk...

Derdowskô

- Ni ma sprawiedlëwòscë na tim swiece...

*Kòl Naczków w kùchni, przë frisztëkù, z płitë lecy „Òdkrëjemë miłosc
nieznónq” Alicje Majewsczi*

Naczkówô

- Dana, anielszi òdrobiony?

Córka

- Nick nie bëło dodóm...

Naczkówô

- Na pewno co bëło. Wiedno je. Pòmëslë.

Córka

- Leno przeczëtac wëjimk z „Przigòdë Karóla w Kanadze”. Szkólnô gòda,
że to je do egzaminu pòtrzebne...

Syn

- Nie czëtôj! Òpòwiëm ce, më to przeròbielë. Mògã jesz z tomata...?

Naczk

- Wezkôj, synkù. Mniom... Pòdobno tą jedną klapëtnicã???????, stòrą Der-
dowską wzälë wczora na sygnale... Co òna mie miała krwie napsëtë...

Naczkówô

- Ale nie gadôj tak. Ni mia letkò w zëcym. Kò ten ji syn, ji ùszkò - na „He-
weliuszu” zdżinął. Òd te czasu...

Naczk

- ... òd te czasu mô żòl do jinëch, że zëją. Za dwadzesce ósmô! Dzecë,
jedzemë! Żdajã w garażu...

Syn, córka

- Jidzemë, jedzemë...

Kabina banë SKM-czi, przed Wejrowã

Banowi

- Co jò móm za zgniłi dzëń... Zofka do nocë òbzërała paraòlimpiadã a pó-
zni ji sã zebrało... A jò móm ju swòje lata...

Czerownik banë

- Twòji sã jesz przënòmni zbiérô... Mòja mô seksë jù dówno ze słowarza
wësztrichnioné...

Czej jem zaczął brac ne nocné kùrsë, to sã zaczęło... To głowa bòli, to

zmãczonô... Czedë jem zapitôl, òd cze je tak zmãczonô, sã òbraża. Wëcygnãla spac na górã. Tam mô satelitã i chlop ju nie je brëkòwny...

Banowi

- Më ni mómë satelitë. To za drogò wëszło, nen abònameít...

Czerownik banë

- Za drogò? Za drogò to nas zwiãzczi zawòdowé kòsztëjã! Zgniëlców trzimã w biórach, bò ùstawa kòże. A tã lugòsz nadgòdzënë za leleków...

Banowi

- Czuj tã: ju ni ma Naniców! Smiechòwa! Radny wëcãlë i kùńc!

Czerownik banë

- Jak ni ma, jak je. Hewò pisze: Wejrowò Nanice...

(Òtmikò dwiërze)

- Jesmë na czas. Planowò. Ò 7.55 mdzemë we Wejrowie.

Banowi

- Zdrzë, jakò dòka. Biòlò jak mlékò...

Czerownik banë

- Zamknij dwiërze. Jedzemë. Mòze jã wëminiemë. *(smiëch)*

W autóle.

Naczk

- Mòta pasë zapiãtë?

Córka. Syn

- Jo.

- Jo.

Naczk

- W sobòtã mëma mô ùrodzënë. Chcemë jã wzac na wanogã. Przërëchtëjã autól...

Syn

- A jò bądã cali dzëń grzeczny!

Córka

- Të, grzeczny? Pewno tak samò, jak jes pòrwòl bùksë na krësce kòl cotczi...

Syn

- A tã stlëkła starczin ùlubiony kriształ!

Naczk

- Cësi, dzecë! Nie jidze to spòkójno jachac?!

Zdrzi w tilné zdrzadło

- Czemù ten biés z tëłu jedze na dłudzych widach...?! Jesz trąbi! Mëśli, że jak jedze tirã, to...

Dzeczë

- Tata, bana!!!

Zwòni telefòn kòl Naczków doma, czëc je grającé radio

Naczkòwò

- Haló? Mëma? Nié, jesmë ju wstóné.

(W radio)

-... gãstò dôka stała sã przëczënë przëtròfkù...

Naczkòwò

- Antosz jachòł z dzecoma do szkòłë.

(W radio)

- ... na banowim przejezdze we Wejrowie...

Naczkòwò

Jo. Hmm...

(W radio)

- ...bana ùderzëła w autół, jaczim jachòł chłop z dwòje dzecy.

Naczkòwò

- ...za 15 minut mògã bëc, dobra? Weznã téz buksë mòłégò do pòd-winiãcò...

(W radio)

...jak delë do wiédzë strażacë, czerowca autóła zdzinął na mòlu...

(Słuchawka wëpadła z rãczy na zemia. Czëc z ni głos)

- Ania? Co sã stało... Ania...

Naczkòwò

- Jezës Maria...

Bùten, kòl karétczi pògòtowiò. Sanitariuszowie pòłq cygaretë.

Pierszi

- Na pól. Dokładno na pól. Jak jaką pieprzoną szablą...

Zacygò sã dëmã i chwilã zdrzi przed siebie

- Nie ba co zbierac... Òdcãło pieprzoné pól autóła! Jak w masło wjachòł...

Ani pòdëszczy sã nie òtemklë, ani nick... Prosto gò wzał ze sobą! Całi przòdk zgarnął w dókã! Rozmiejesz?!
Drëdzi

- Dôj pòkù. Dobrze, że dzecoma nick sã nie stało. Czësti cud bòszi...

Pierszi

- Do dupë z taczim cëdã! Òjcã na jich òczach wëflaczëło! Do dupë z tą całą robòtã! Móm dosc! Dosc... (placze)

Zëma. W jizbie kòl Naczków. Derdowskò platëje, Naczkòwò skłòdò wëpróné òbleczenia

Derdowskò

- Mój Tómk to bël złoti knòp. Nie pił, nie pòlił... Miòł sã żenic za miesãdz. Gòdò: Mëma, jesz jeden rejs, zarobiã na wieselë... (do Naczkòwì) Szczescé w nieszczescym, że dzecoma nick sã nie stało...

Naczkòwò

- Bëlë przëpiãté do fòtelików. Mój chłop miòł wiedno ò to starã...

Derdowskò

- Takò dòka jak tej bëła ... Biòtò, jak sèkniò do slëbù...

A jegò dzewùs sobie jinégò wżãła. Wòjskòwégò. Mieszkają na tim nowim òsedlu kòl jednostczy...

Mój Tómk bël taczì mądri. Równak, tej, niglë wsòdł na nen przesniti òkrãt, pòwiedzòł, że nieròz człowiek mùszi wëplënac w bürzã, cobë mógł bezpiecno wrócëc... Bezpiecno wrócëc...

Naczkòwò

- Navigare necesse est...

Derdowskò

- Co?

Naczkòwò

- Takò piesnia, Alicje Majewsczi...

- Jò tëch nowòmódnëch nie znajã. Leno Fogg niebòszczik pòtrafił spiewac. Jenë, pól szòsti! Nèkóm na rôrotë! Dzecë sã najadłë, lekcje òdrobioné, sztòle na wìtro w lodówce. Wìtro ò sòdmy, jak wiedno?

Naczkòwò

- Ò sòdmy

Derdowskò

- Òstanita z Bògã!

Naczkòwò

- Z Bògã...

Kòl północë. Syn pisze w internece, na swòjim blogù „Wëlôzóm z dôczy”

„Dzysò mijò mój setny dzień wëlôzaniò z dôczy. Wcyg nie widzã widu. Kòmùda òwijò mie mòg, zazérò strasznyma slépioma do òczów. Ji dech robi, że mie skóra zmiérò. Beznòdzeja. Bezcwëkòwnota. Mùr lëdzcégò niezrozumieniò òdgròdzywò mie òd tegò swiata. Mòje mëslë plëną megabajtoma. Żeglëjã pò mòrzu postów, nicków i www. Kùkóm w kòmputrowi ekran pikseloma skrzący. Knypsajacë knapë òbjimóm sęcã swégò zwątpieniò cyberlëdztwò. Smùtk zëmny, maszynowy. Czëjã za to nawkól redostné głosë dzecy i rozmòwë starszëch. Na przemianã: - Ten krizys w Europie. - Dòj, dòj mie piłkã! - Znòwù spòdł fliger. - Amerika napadnie na Jiran. - Të gònisz mie! - W rosmanie na rénkù je teńszy proszk do praniò. - Niech le spróbùją zakòzac tobaczi, ti brukselszi dolemónowie! - Mëma, òn mie wzał pùpkã! - Zapòwiòdajã wìtro deszcz ze sniegã... - Móm słabi akùmùlátor... - Kasa chòrëch nie dała mie na léczenié hemòrojdów... Nie chcã ju tegò czëc! Biòjta mie wszëtcë prëcz! Dali z mòji dôczy! To je mòja dôka, mój swiat!

GŁOS mie wòłò. GŁOS mówi, że móm za nim jic. GŁOS nie je z tegò swiata. GŁOS czekò na mie TAM. GŁOS to TATA. Jidã do TATëëëëëëëëëëëë!”.

Wësélò. Wëłqcziwò kòmputër. Wëchòdzy z jizbë.

Północ. Naczkòwò w łòżkù pisze smsa.

„Dzysò je nasza roczëzna. Teskniã:’-(
Staszku mò pòwitrze maturã. Danusza znowù sã zakòcha:)
We wtòrk móm rozmòwã z szefã ò pòdwëzce:#
Ta Derdowskò, pamiãtòsz jã, pòmògò mie przë dzecach...
Lëdze jesz wcyg zwòniã na Twòjã kòmòrkã...
Tak jak jò...
Bateria mie sòdò... Kùńczã.
A.”
- Staszku?! Co tak długò sã kãpiesz...? Zakracë ju wòdã...

Tomasz Fopke

Właściwy kurs

Miesiąc temu pokonaliśmy ocean. Za sobą mieliśmy nieskończone przestrzenie i przed sobą mieliśmy je równie wielkie. Ale już inne. Całkiem inne.

Szum silnika działał usypiająco. Ciepłe nocne powietrze i monotonne kołysanie sprawiały, że nie chciało mi się reagować na kilkakrotnie ponawiane pobudkowe szturchnięcia. Już nie spałem, ale wciąż jeszcze się nie obudziłem. Długo trwało nim zorientowałem się, że stoimy. Umilkł silnik, a dominującym dźwiękiem stał się szelest papieru. Uniosłem powieki. Z trudem i niechętnie. Świtało, a półtora metra ode mnie Wojtek nerwowo szamotał się z mapą.

- Wstałeś wreszcie.

Przestał szarpać się mapą i chyba czekał aż na mojej twarzy pojawi się wyraz świadomości. Milczał wpatrując się w zadrukowany i nieco już wymięty papier, aż w końcu uznał, że zrozumiał.

- Zniosło nas gdzieś. Nie mam pojęcia gdzie jesteśmy.

- Jak to, zniosło?! Jak to, nie masz pojęcia?! A co nawigacja gada?

- Nie gada. Ze trzy godziny temu przestała.

- Akurat! Zasilanie sprawdziłeś?

- A jak myślisz?

Mamrocząc pod nosem przekleństwa wylazłem ze śpiwora, poprzeciagałem się trochę poskrzypując stawami i zabrałem się za szwankującą elektronikę. Sprawdziłem zasilanie, pogmerałem przy kablu, powciskałem wszystkie możliwe guziki i popukałem w obudowę. Niestety, wyglądało na to, że odmówiła współpracy na dobre. Ze dwadzieścia lat temu pewnie odkręciłbym śruby i szukał jakichś bezpieczników przepalonych by je zawatować, albo spęczniałych kondensatorów elektrolitycznych do wylutowania. Teraz nawet nie próbowałem zdejmować obudowy. Wiedziałem, że zastałbym w środku stonogi układów scalonych i mnóstwo malutkich elementów, co to nawet nie wiem jak się nazywają. A wszystko, rzecz jasna, jednorazowe.

- Dobrze, że to nie ocean, bo tam byłoby trudniej. Tu możemy za każdym rogiem zapytać o drogę – powiedziałem.

- Idź, pytaj!

Wysiadłem z auta, rozejrzałem się i natychmiast pojąłem ironię jego słów. Staliśmy na pustkowiu, pośrodku czegoś, co trudno nazwać drogą.

- Dobra - powiedziałem – zrobimy w tył zwrot i najdalej za kilka godzin znajdziemy jakąś bardziej cywilizowaną okolicę.

-Tak, tak, tylko wiesz, ja w nocy, jak ta nawigacja zdechła, to jeździłem na czuja. I chyba parę razy zmieniałem kierunek. Właściwie, to mogłem nawet jeździć w kółko - zaśmiał się głupkowato.

- Dobra, jedźmy gdziekolwiek przed siebie, bo jak tak będziemy tu stać, to zastanie nas południe. A mapę, to wiesz gdzie możesz wetknąć – przecież nie wiemy gdzie jesteśmy, a żadnych punktów orientacyjnych, które można by na mapie lokalizować, to ja tu jakoś nie widzę. Pojedziemy „na azymut”, gdzieś trafimy przecież.

Jechaliśmy „na azymut”. Na wschód, bo czemuż by nie. Na wschód, bo jak powiadał Maksymilian Paradys, „tam musi być jakaś cywilizacja”. A gdzie był wschód, to wiedzieliśmy z grubsza. Wojtek widział wschodzące słońce, kiedy prowadził, a ja pochrapywałem na tylnym siedzeniu auta.

Jechaliśmy i jechaliśmy, godzinę, potem drugą godzinę. Teraz prowadziłem ja, a Wojtek poszedł podrzemać do tyłu. Piach, kamienie, wyschnięte krzaki. Od czasu do czasu skały i krótkie wąwozy. Aż wreszcie dojechaliśmy naszą ścieżyną do czegoś, co można by nazwać, od biedy, drogą szutrową. Przy czym słowo „droga” należałoby traktować mocno umownie. Ucieszyłem się i z tego. Wojtka jednak nie budziłem, postanowiłem poczekać aż trafię na coś konkretniejszego niż ta nasza nowa „droga”.

Samochód toczył się powoli, ale kiedy nagle pojawiła się ta kobieta, zahamowałem tak gwałtownie, że śpiący Wojtek stoczył się na podłogę między przednimi i tylnymi siedzeniami. Zaskoczyła mnie, bo stała zaraz za formacjami skalnymi zza których właśnie wyjechałem.

Staliśmy - ona dosłownie, a my na siedząco – w aucie. Dobra chwila minęła nim otrząsnąłem z zaskoczenia. Razem z boleśnie obudzonym Wojtkiem podeszliśmy do kobiety. Czułem się jakbym był we śnie. Jeszcze trochę, a zacząłbym się szczypać po policzkach. Ale nie! Ona faktycznie stała.

Mała, zasuszonej starowinka stała w bezruchu, czekała na nas cierpliwie na pustkowiu. Po pierwszych słowach okazało się, że lepiej mówiła po hiszpańsku niż po angielsku. Tak twierdził Wojtek, który szczęśliwie na studiach

i po studiach zawziął się na naukę tego języka. Kobieta mówiła jakimś dialektem, meksykańskim pewnie, ale Wojtek i tak prawie wszystko rozumiał.

- Zawieźcie mnie do domu, to tylko kawałek. Musicie mi pomóc.

- *Si, si señora*, proszę tylko pokazywać drogę.

Rzeczywiście daleko podwozić kobiety daleko nie musieliśmy – po dziecięciu minutach wolnej jazdy wjechaliśmy do ruin miasteczka. Domy, które mijaliśmy po drodze nie miały dachów, straszyły powybijanymi szybami, wyłamanymi drzwiami, albo wręcz jak domki dla lalek, miały zburzone frontowe ściany. Wszystko to wyglądało dość upiornie, jak z horroru.

- Od siedmiu lat mieszkaliśmy tu już tylko my, ja i mąż. Skończyła się praca w kopalni, skończyło się i miasto. Wszyscy uciekli. Tylko my zostaliśmy. Raz w tygodniu przywożą nam zaopatrzenie. Nie mamy nawet telefonu. Mąż mówił, że go nie potrzebujemy. Nie mamy przecież dzieci, żadnej rodziny, nikogo komu chciałoby się do nas dzwonić.

Minęliśmy kilkanaście ruin nim dotarliśmy do właściwego domu. Od razu wiedzieliśmy, że to ten. Miał dach, szyby w oknach, a na werandzie wisiały skrzynki z kwiatami. Zatrzymując się byłem przekonany, że na tym skończy się nasza pomoc, że pojedziemy dalej w kierunku, w którym jak wyjawiała kobieta, za dwanaście mil miało być miasto. Myliłem się jednak. Nasza pomoc miała polegać na czymś więcej niż tylko podwiezieniu. Ta siwa, pomarszczona kobieta wygłosiła taką prośbę, po której przetłumaczeniu przez Wojtka trzy razy upewniałem się, że dobrze zrozumiałem. Fiksacja z zaskoczenia się to nazywa. Mieliśmy przenieść z szopy do domu trumnę! A potem, w tej trumnie, mieliśmy ułożyć ciało jej męża, który zmarł poprzedniej nocy! Dopiero teraz, zrozumiałem emocjonalną reakcję Wojtka w czasie hiszpańskiego dialogowania z kobietą w aucie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że wśród docierających do mnie pojedynczych słów samochodowej rozmowy, kilkakrotnie oboje powtórzyli jedno - *muerte* - martwy. No to nas nawigował ten GPS!

Nie pamiętam bym kiedykolwiek odmówił pomocy staruszce. No bo jak odmówić?! No dobra, przenoszenie trumny, to jedno – ot, polakierowana skrzynia. Choć swoją drogą, kto trzyma trumnę w szopie? Ale dotykanie zwłok nieznanego człowieka, to już zupełnie inna historia! Przed oczyma stanęło mi wspomnienie z dzieciństwa.

Miałem wtedy dziewięć lat. Nie przepadałem za piłką, ale tego dnia bardzo zależało mi na tym aby kopać ją jak najdłużej. Pierwszy raz zostałem wybrany do czyjejs drużyny podczas codziennych niemal podwórkowych

rozgrywek. I całkiem nieźle mi szło. A wtedy przyszła matka. Naburmuszona, jak zwykle, ale tym razem jakoś tak nawet bardziej. Szarpiąc mnie za rękę popędzała bym szybciej szedł w stronę domu. Nie pamiętam by wytłumaczyła mi czemu mam porzucić zabawę. Po stu metrach się dowiedziałem – umierał dziadek. Miałem się pożegnać. Był blady i nieogolony. Czułem, że cierpi. Dotknąłem jego dłoni, a on przygarnął moją głowę do siebie i przytulił. Gmerając palcami we włosach szeptał słabym głosem: - mój Groszku, mój Groszku. Kilka dni później dotknąłem jego dłoni jeszcze raz. Leżał w trumnie, a ja miałem wrażenie, że to nie jest mój ukochany dziadek, lecz pusta wydmuszka, że prawdziwy dziadek jest już gdzie indziej. W południe, w tłumie ludzi, stanąłem w kremplinowym garniturku nad jamą w ziemi, która stała się grobem.

Trumna z Newady okazała się być prostą skrzynią zbitą z sosnowych desek. W szopie musiała stać co najmniej kilkanaście lat. Mimo zawinięcia w folię, zdążyło w niej zamieszkać kilkadziesiąt pokoleń pajaków i innych insektów. Błyszczące kiedyś łebki gwoździ zespalających całość były rude od rdzy. Metalowy krzyż przytwierdzony do płaskiego wieka pociemniał od upływu lat. Omietliśmy trumnę i przetaraliśmy ją wilgotnymi ścierkami, a potem ponieśliśmy ją do domu.

Weszliśmy do salonu i nagle będąc w sercu stepu, kilkaset mil od wybrzeża, znaleźliśmy się w pomieszczeniu będącym skrzyżowaniem portowej tawerny i morskiej izby pamięci. Mapy nawigacyjne na ścianach, zwoje lin, sekstansy, chronometry i mnóstwo innych sprzętów, których zastosowania mogłem się tylko domyślać. Kobieta, która weszła za nami była chyba przyzwyczajona do zaskoczenia gości, bo od razu wyjaśniła:

- Kochał statki. Przez pięćdziesiąt lat był marynarzem, zaczął jako chłopiec, jeszcze na żaglowcach. Rzucił morze, kiedy jego tankowiec w pięćdziesiątym czwartym zatonął w sztormie. Dziesięć dni spędził na tratwie z kolegami. A kiedy ich wreszcie wyłowili, wyjęli z tratwy jedenaście trupów. Przeżył tylko on i jeszcze jeden. Ani razu nie opowiedział mi o tym. Przez rok po katastrofie, noc w noc budził mnie swoim krzykiem. Nie chciał już pływać, nie chciał już nawet oglądać morza. Denerwował go nawet szum fal, widok albatrosów, zapach gnijących na plaży wodorostów. Sprzedaliśmy więc dom w Astorii, wiecie, w Oregonie. I przeprowadziliśmy się tu. Otoczył się tym wszystkim – powiodła dookoła ręką – by czuć się jak na statku, a jednocześnie nie musieć oglądać morza.

Ułożyliśmy trumnę na kilku połączonych krzesłach i z zakłopotaniem czekaliśmy na dalsze dyspozycje. Poprowadziła nas do sypialni. Leżał w małżeń-

skim łożu ubrany w marynarski mundur bez żadnych dystynkcji. Chyba odetchnąłem wtedy z ulgą dość głośno, bo kobieta o nic nie pytana powiedziała:

- Jeszcze wczoraj sama go umyłam, ogoliłam i przebrałam - powiedziała to tak, jakby mówiła o żywym człowieku, jakby mówiła o mężu, który się na chwilę zdrzemnął. - Przenieście go tylko i delikatnie ułóżcie. Proszę - dodała - patrząc na mnie wilgotnymi oczyma.

Choć był dość wysoki okazał się lekki. Mimo, że jego żona wyglądała na wiekową, on wydawał się jakby miał jeszcze ze dwadzieścia lat więcej. Staryszek miał łagodną twarz, żadnych grymasów, bolesnych skrzywień. Miał wypisany na twarzy spokój. Zupełnie inaczej niż mój ojciec.

Piętnaście lat temu przejechałem kilkaset kilometrów by spotkać się z ojcem. Nie przepadałem za nim, ale nie chciałem by, kiedy będzie zamykał oczy po raz ostatni, był w szpitalu całkiem sam. Jego żona, a moja matka, nie chciała go widzieć. Moje rodzeństwo też. Trudno im się dziwić, po tym jak przez wiele lat dawał im się we znaki. Pił i dawał się we znaki. Jak każdy chyba pijak. Ja jednak nie chciałem by umierał sam. Mimo wszystko. Posiedziałem kilka godzin przy jego łóżku, potrzymałem go za rękę. Patrzyłem na jego wykrzywioną grymasem bólu twarz. Była straszniejsza niż wtedy, gdy po pijanemu sięgał po pas. Miałem wrażenie, że na mnie patrzy, choć był pod wpływem silnych leków. Bełkotał, a ja próbowałem coś zrozumieć. Lekarz powiedział, że lepiej już nie będzie, że to już kwestia godzin, najwyżej dni. Miał rację, to była kwestia dwóch dni.

Jakby czytała w moich myślach. Podeszła do mnie niepostrzeżenie i wsunęła powykrzywianą reumatyzmem dłoni w moje włosy. Mierzwiła je delikatnie, jak kiedyś mój dziadek

- Nie cierpiał. Umarł we śnie, leżąc obok mnie. Przez cały czas czułam jego dłoń przy mojej. No już, chodźcie na herbatę i obiad - powiedziała i pociągnęła nas do kuchni.

Myślałem, że po tym wszystkim nie będę w stanie niczego przełknąć. A jednak dałem radę głębokiej misce fasoli z wieprzowiną i sosem chili. Wojtek też. Przy jedzeniu kobieta wypytała nas skąd jesteśmy i gdzie właściwie leży ta Polska. Poprosiła nas byśmy poczekali na nią parę minut, a potem zawieźli ją do miasta.

- Trzeba go przecież pochować jak należy. W mieście to załatwię. O mój powrót nie musicie się już martwić, odwiezie mnie szeryf.

Kiedy byliśmy na miejscu, wysiadając już z samochodu wyjęła z torby i wcisnęła nam w dłonie jakieś paczuszki.

- To podziękowanie za pomoc i pamiątka spotkania. Poznaliście go przecież. Niech poprowadzą was bezpiecznie przez ten wasz ocean na wschodzie. Jedźcie już.

Stała machając dłonią aż zniknęliśmy za rogiem wyjeżdżając z miasteczka.

Jechaliśmy z Wojtkiem w milczeniu, od czasu do czasu tylko patrząc na siebie. Mile gładkiego asfaltu przewijały się pod kołami naszego auta. Zatrzymaliśmy się po kilku godzinach w przydrożnym barze na kawę. Wtedy wypakowaliśmy otrzymane od kobiety paczuszki. Na tandetnej ceracie barowego stołu spoczęły bardzo stare skrzyneczki z tekowego drewna. Mimo, że przez sto, a może i więcej lat, pod dotykiem wielu dłoni drewno powycierało się lekko, nie utraciło niczego ze swojego szlachetnego wyglądu. W środku mojej skrzynki znajdował się masywny mosiężny korpus morskiej busoli. Pochyliłem się nad grubą taflą szkła skrywającą różę wiatrów i strzałkę magnetyczną. Stuletni prezent od martwego marynarza wciąż pokazywał kurs.

Wierzę, że właściwy.

Krzysztof Szkurłatowski

Po drugiej stronie

- Co ja tutaj robię?- młoda dziewczyna wyszeptała sama do siebie, gdy otwierała spróchniałe drzwi do obskurnej nory, którą rdzewiejąca tabliczka dumnie określała jako „Koszary”. Próchniejące już drewno zaskrzypiało donośnie, gdy wstępowała w odpychającą mgłę dymu papierosów żegnając ukochane światło letniego popołudnia. Po kilku krokach zatrzymała się i rozejrzała powoli po małym pomieszczeniu skąpanym w żałości słabym świetle jednej tylko lampy naftowej. Było bardzo małe, z oknami zabitymi dechami wydawało się klaustrofobiczną norą odciętą od świata. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Po jej prawej stronie kilku oficerów siedziało przy stole i grało w karty, klnąc, rechocząc rubasznie i chlejąc piwo mocno chrzczone wodą. Przed nią zaś, było stare biurko, być może już pięćdziesięcioletnie, za którym siedział najpewniej jeszcze starszy oficer. Bujał się na krześle opierając się o drzwi za jego plecami. Awrora znała ich straszną sławę aż za dobrze; prowadziły nie tylko do archiwów, a również „sal przesłuchań” w których kaci niecierpliwie czekali na niepokornych obywateli. Oficer drzemał snem człowieka zmęczonego życiem, już dawno zniszczonego psychicznie i znieczulonego na wszelkie cierpienie przez zdecydowanie zbyt długą służbę krajowi. Dziewczyna podeszła do biurka i obudziła oficera lekkim szturchnięciem.

- Nazwisko?- wciąż śpiący żołnierz zapytał zmęczonym głosem.

- Grustny - dziewczyna wyszeptała. Oficer przeanalizował odpowiedź w myślach, lecz kilka sekund później obudził się i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie ma u nas żadnego Grustnego - zauważył. Zazwyczaj jego obowiązkami było wypłacanie żołnierzom kilku żalosnych miedziaków zwanych żołdem albo tłumaczenie żonom lub córkom, że nie miał pojęcia, gdzie mógł się podziać ich mąż czy ojciec, a do jego obowiązków nie należało przeszukiwanie burdeli czy obskurnych knajp, gdzie swoje godne politowania pieniądze wydawali.

- Ja w innej sprawie - dziewczyna zmusiła się do lekkiego uśmiechu, aby zjednać sobie oficera.

- Dokumenty, panienko - zażądał oficer. Żołnierze nigdy nie prosili; oni żądali. Różnica była bardzo prosta; prośbie można odmówić.

- Proszę - panienka Grustny podała małą czarną książeczkę. Oficer otworzył ją i przyjrzał się jej.

- Awrora Grustny - wymamrotała. Uważnie zlustrował dziewczynę; niezbyt wysoka, nie starsza niż osiemnaście lat. Była szczupła, co nie było zaskakujące, skoro żyła w skrajnej biedzie. Miała długie czarne włosy, nosiła tani brązowy płaszcz i jeszcze tańsze ciemne, wątpliwie skórzane rękawiczki. Lewą stronę twarzy pokrywały blizny po poparzeniu z dzieciństwa, które docierały aż do wypalonego, lewego oka, które utraciło swą piękną zieloną barwę by stać się ohydnie szare.

- Czego chce? - stary oficer rzucił.

- Chciałabym się zaciągnąć do służby na morzu - wyjaśniła. - Znam się na...

- Nie potrzeba kalek na morzu. Zwłaszcza kobiet - oficer przerwał brutalnie z nutką rozbawienia w głosie.

- Widzę dobrze, nawet jeśli na tylko jedno oko. Nie jestem kaleką - panienka zapewniła delikatnie, nie próbując naciskać na oficera. Naciskanie na wojskowych nigdy nie kończyło się dobrze.

- Jest panienka - oficer rzucił czarną książeczkę na biurko. - To wszystko? - spojrzał podejrzliwie, wyraźnie zirytowany faktem, że przerwała mu drzemkę.

- Tak, przepraszam za najście - Awrora chwyciła dokumenty, schowała je w płaszczu. Nie było sensu się kłócić, nawet jeśli tak bardzo chciała. - Życzę miłego dnia - rzuciła chłodno na odchodne i wyszła z tej ponurej nory pospiesznym krokiem. Zanim nawet trzasnęła rozpadającymi się drzwiami, usłyszała chrapanie oficera. Na zewnątrz oparła się o ścianę budynku i wzięła głęboki oddech delektując się słonym morskim powietrzem, a jednocześnie próbując nie zadławić smrodem ryb. Delikatnym ruchem ramion odbiła się od ściany, sekundę później strzepując brud z pleców. Wtedy kopnęła wściekle jakieś metalowe wiadro, które miało nieszczęście stać przed nią. A już myślała, że uda jej się opanować emocje. Kilku przechodniów spojrzało na nią przelotnie, ale nie interesując się zbytnio.

- Kaleka! - wysyczała nienawistnie. Nienawidziła tych wszystkich, którzy ją tak nazywali. Cała gotowała się we wściekłości, gdy przemierzała szybkim

krokiem ulice jej miasta, niewielkiego portu, który napawał ją odrazą. Pijaństwo, burdele, kradzieże, brutalne morderstwa za szklanekę dobrej wódki czy ładną chustę. I donosiciele, wszędzie donosiciele. Witamy w Imperium!

Awrora opuściła odrażającą mieścinę w ciągu zaledwie paru minut i trafiła na plażę, prawdopodobnie jedyne piękne miejsce na całym kontynencie, który to należał do Imperium. Była ona dosyć kamienista, ale cicha i spokojna, a nawet nie było czuć charakterystycznego rybiego smrodu portu. Stała kilka metrów od brudnej, zielonej wody, lecz odsunęła się od niej powoli. Podeszła do zgliszczy małego, drewnianego budynku, spalonego dawno temu. Usiadła na kamieniach i oparła się plecami o zwęglone drewno. Westchnęła głęboko patrząc na kutry rybackie w oddali. Ona nie chciała iść do wojska. Nie zamierzała służyć Imperatorowi, którego w życiu nie widziała, państwu, które o nią nie dbało, zepsutemu ludowi, którym gardziła z całego serca. Jej ojciec przewróciłby się w grobie gdyby to zobaczył. Jedyne pragnieniem Awrory było dostać się na okręt, którym przepłynęłaby morze. Marzyła, żeby kiedyś wsiąść na swoją małą żaglówkę i popłynąć gdzieś tam, daleko... Na drugi kontynent. Eden, gdzie nie było Imperium, jej ziemię obiecaną. Dawno, dawno temu, jej ojciec opowiadał jej jak tam jest. Tak wiele historii, które wydawało się tak cudownie niemożliwe; piękne domy, godna praca, brak donosicieli, państwo które dbało o człowieka, a nie traktowało go jako surowiec. Awrora nie kochała żeglarstwa; nigdy wcześniej nie żeglowała. Uważała je za coś koniecznego, nawet jeśli tak ekscytującego, to wciąż, jedynie koniecznego. Żegluga była jej własnym kluczem do Raju. Niegdyś, ojciec budował w małej chatce za jej plecami żaglówkę dla nich, aby uciec z Imperium, jednakże wszystkie marzenia znikły niczym sen na mara, gdy ta chata spłonęła, a wraz z nią, ich nadzieja. Panienska Grustny wciąż pamiętała ten pożar; jej ojciec leżący na drewnianej podłodze, ogień tańczący dookoła niego, a ona, mała dziewczynka, nie zważając na gorąco, próbująca go wyciągnąć z tego piekła. To nie był wypadek. Kilka iskieł nie jest w stanie spalić takiego budynku. Wilgotne drewno nie płonie tak łatwo. A rana w piersi po żołnierskiej szabli nie pojawia się znikąd. Tego dnia straciła wszystko; ukochanego ojca, jedyne marzenie, a nawet urodę. Pozostały tylko zgliszczka; drewno tak spalone, że nawet go nie rozkradziono. Awrora uparcie powstrzymywała łzy melancholii, były one przecież jedynie oznaką sła-bości, czegoś na co nie mogła sobie pozwolić, jeśli chciała kiedyś spełnić swoje marzenie albo chociaż przetrwać w tej godnej pożałowania mieścinie.

- Kaleka - wyszeptała gorzko. Tak bardzo walczyła z samą sobą czy spróbować szansy ucieczki na drugą stronę okrętem wojskowym tylko po to by zaznać kolejnego rozczarowania, jej chleba powszedniego.

- Znajdę inny sposób, tato - obiecała. Często rozmawiała ze swoim ojcem, nawet jeśli już nie żył. Dawało jej to siłę, otuchę, wiarę w sens przeżywania kolejnego dnia w tej żalosalnej rzeczywistości, na którą była bezterminowo skazana.

- Jeszcze nie wiem jaki, ale...- przerwała w pół zdania. Awrora usłyszała kroki - coś niezwykle niepokojącego w takim miejscu. Dziewczyna poderwała się szybko, w jej dłoni zabłyszczał stalowy nożyk z tanim, srebrnym ornamentem w kształcie róży; dar od ojca. Skoro już młoda dziewczyna postanowiła błąkać się zupełnie sama poza mias-tem, musiała być świadoma czyhających na nią zagrożeń i, co ważniejsze, umieć się przed nimi bronić. Małe ostrze potrafiło zaskakująco łatwo rozwiązać większość z nich, a i tym razem mogło okazać się przydatne. Niedaleko od niej stał jakiś starszy mężczyzna w rybackim zielonym płaszczu; siedł prosto, nie chwiejąc się, czyli był całkiem trzeźwy.

- Czego chcesz? - Awrora utrzymywała bezpieczny dystans, patrząc na przybysza podejrzliwie. Trzeźwi są bardziej niebezpieczni.

- Panienko Grustny, proszę schować nóż - mężczyzna zasugerował. - Doceniam, że pielęgnuje panienska rodzinne pamiątki, ale nie ma potrzeby chwaleń się tym przede mną - zapewnił.

- Śmiem wątpić - Awrora przezornie cofnęła się o dwa kroki. Nie ufała mu, nawet jeśli znał jej nazwisko i rozpoznał nóż ojca. Tak naprawdę nie ufała nikomu, a w Imperium ta cecha była jednym z gwarantów przeżycia. Mężczyzna westchnął ciężko z irytacją.

- Słyszałem, że chce panienska uciec z Imperium - stwierdził i z satysfakcją oglądał zdumienie rysujące się na jej twarzy.

- Co za głupoty pleciesz? - dziewczyna zapytała z łatwością udając niedowierzanie. Zaśmiała się w duszy z naiwnego rybaka. Chciał ją sprowokować, a następnie donieść o jej planach ucieczki z Imperium. Ale Awrora już nieraz wykiwała znacznie subtelniejszych donosicieli.

- Zróbmy tak - rybak wyjął jakiś plik papierów zwiniętych starym sznurkiem i rzucił je dziewczynie pod nogi. Spojrzała na nie ostrożnie, wciąż trzymając przybysza na oku. Skądś znała te notatki. Już je kiedyś widziała. Jej serce zatrzymało się na ułamek sekundy, gdy rozpoznała ojcowski, artystyczny styl pisma. To były plany łodzi.

- Skąd to masz? Wszystkie notatki ojca spłonęły w pożarze - zauważyła podejrzliwie.

- Wszystkie, które wtedy miał, tak. Ale twój ojciec wcale nie pracował sam. Widzisz, ja sam chcę uciec, nawet mam łódź. Wypływam tej nocy, ale nim opuszczę ten padół, chciałbym zapytać cię, panienko Awrora Grustny, czy chciałabyś uciec wraz ze mną - mężczyzna zaoferował.

- Nie wierzę - dziewczyna nawet nie rozważyła schowania ostrza. Rybak na pewno nie mógł być donosicielem; takimi słowami ryzykował stryżek, któryby mu z radością zagwarantowała, gdyby tylko spróbował na nią donieść. Jednak to wcale nie oznaczało, że mówił prawdę albo chociaż miał dobre zamiary wobec niej.

- Zaprowadzić cię do łodzi? - rybak zasugerował. Awrora czuła jak zastawiał na nią swoją banalną wręcz pułapkę, a ona stała zaledwie krok przed nią, walcząc z pokusą.

- Prowadź - zgodziła się. Mechanizm zatrzaskał się z metalicznym zgrzytem. Zdawała sobie sprawę, że popełniała właśnie głupi, być może ostatni błąd w życiu. Ale są takie oferty, którym zwyczajnie nie można odmówić, nie ważne jak absurdalnie by brzmiały.

Szli przez ciemną jaskinię. Rybak prowadził z pochodnią w dłoni, Awrora szła tuż za nim trzymając własną, cały czas obserwując zarówno przewodnika jak i wszystko dookoła siebie. Nóż trzymała u pasa, gotowa jednym płynnym ruchem go dobyć i dźgnąć. Palce prawej dłoni drżały niecierpliwie na rękojęści.

- Spokojnie, panienko Grustny. Już prawie jesteśmy - zapewnił przewodnik, widocznie wyczuwając jej napięcie.

- Znasz moje imię, ale swojego mi nie zdradziłeś - Awrora zauważyła z wyrzutem w głosie.

- Nazarij Krovitz - starszy mężczyzna przedstawił się.

- Dziwne imię - dziewczyna stwierdziła.

- Nie dziwniejsze niż twoje - odgryzł się Nazarij. -No, jesteśmy na miejscu - oświadczył. Znaleźli się w dosyć sporej, wysokiej na jakieś dziesięć metrów grocie. Przed nią i po prawej rozciągała się podłoga z litej skały. Kilka metrów od niej leżało rozklekotane biurko kreślarskie pokryte przeróżnymi szkicami, wokół którego leżały tanie narzędzia oraz niewykorzystane deski. Jednak skalna półka w kształcie litery „L” miała szerokość zaledwie kilku metrów; reszta jaskini było to obniżenie zalane morską wodą. Na wodzie, przycumowana do skały, stała łódka. Bardzo skromna, niepomalowana, mająca nie więcej niż siedem metrów długości i niecałe półtorej szerokości

żaglówka z dwoma żaglami czekającymi do postawienia. Awrora przyglądała się jej z niedowierzaniem. Rybak uśmiechnął się lekko.

- Możesz dotknąć, jest prawdziwa - zapewnił. Dziewczyna minęła go i płynnym ruchem wskoczyła na łódkę, która zakołysała się delikatnie na wodzie. Wspaniałe uczucie. Rozejrzała się dookoła jak małe, podekscytowane dziecko, które właśnie dostało nową zabawkę; aż nie mogła uwierzyć, że wszystko było gotowe do wypłynięcia.

- Wyjście z jaskini jest przykryte konarami, piaskiem i kamieniami, z zewnątrz wygląda jak niepozorne zbocze. Odgarnę to w godzinę i można płynąć - Nazarij zapewnił. Dziewczyna pokiwała lekko głową. Usiadła na burcie. Jej ojciec chciał zbudować dokładnie taką samą łódkę; niepozorną, a zdolną przepłynąć morze.

- Wszystko wygląda pięknie, ale...- zawahała się, gładząc w międzyczasie wyszlifowane sosnowe drewno kadłuba. - Nie rozumiem - wyznała. - Skąd ta łódź? Skąd te plany? Kim ty w ogóle jesteś? - zaczęła wypytywać. Rybak usiadł wygodnie na skale i spojrzał na Awrorę.

- Byłem przyjacielem twojego ojca. Razem chcieliśmy uciec z Imperium przepływając morze. Tak naprawdę to ja go zainspirowałem. Ukradliśmy plany i zaczęliśmy budować. Od początku były dwie łodzie; ta nad którą pracował twój ojciec była jedynie przynętą; wojsko zastanawiało się kto chciał użyć planów. Prędzej czy później ktoś by o niej doniósł, żołnierze by zarekwirowali jednostkę albo po prostu zniszczyli, nie szukaliby niczego więcej, a my, z już zdobytymi materiałami, moglibyśmy spokojnie budować drugą - Nazarij westchnął głęboko.

- Coś poszło nie po waszej myśli - dziewczyna domyśliła się.

- Tak, zdecydowanie nie po naszej myśli - rybak potwierdził smutno. - Komuś puściły nerwy, polała się krew, chata skutnicza twojego ojca spłonęła. Ja kontynuowałem budowę swojej bez większych trudności, nawet jeśli potrzebowałem kilku lat mozolnej pracy. Teraz łódź jest skończona, a czas by wypłynąć najwyższy. Chcę cię zabrać na drugą stronę. To było wasze marzenie, twoje i twojego ojca. Mam nadzieję, że się zgodzisz - Krovitz przyjrzał się młodej dziewczynie uważnie.

- Nawet dzisiaj - Awrora zadeklarowała bez chwili zwątpienia, mimo że tak naprawdę go nie znała.

- A więc nie ma sensu zwlekać - rybak klasnął donośnie uradowany jej słowami. Ciche echo niosło się po jaskini. - Spotkamy się przed wejściem do jaskini po północy. Będzie bezchmurna noc, gwiazdy wskażą nam drogę. Chodź już, Awrora, przygotuj się, weź wszystkie potrzebne rzeczy i ukradnij

trochę jedzenia, jeśli to możliwe. Nie żegnaj się z nikim. Niech nikt nie wie - Nazarij przykazał i dziewczyna skinęła głową lekko. Rybak odprowadził ją do sprytnie ukrytego wyjścia z jaskini, a następnie pobiegła prosto do miasta.

Awrora biegła przez portowe ulice z chirurgiczną precyzją wymijając zataczających się wokół oblesnych pijaków oraz kałuże brudnej wody po niedawnym deszczu. W jej sercu zagościło uczucie tak wyczekiwane, a tak dawno nie zaznane; radosne uniesienie.

- On naprawdę ma łódź - wyszeptwała z niedowierzaniem, gdy wskoczyła na niski murek i przebiegła nim jakieś kilkanaście metrów. Zeskoczyła z niego płynnie, skręciła w wąską uliczkę. - Aż ciężko uwierzyć, że Nazarij naprawdę zaryzykował powiedzenie mi prawdy. To jest przecież projekt jego życia, a on powierza go osobie, której tak naprawdę nie zna. Jestem córką przyjaciela... - uśmiechnęła się z politowaniem. - Przecież to nic nie znaczy. Mogłabym donieść, stać się przykładną obywatelką, zyskać pozycję społeczną... Gdyby mnie to obchodziło, rzecz jasna - ucięła swoje rozważania. Skręciła za róg i zobaczyła swoją kamienicę. Szybkim krokiem weszła do ciasnego mieszkania na trzecim piętrze. W kuchni czekała macocha.

- Gdzie się szlajasz całymi dniami? Obiad czeka - burknęła. Awrora posłusznie nabrała sobie trochę zimnej, wczorajszej zupy i zjadła ją pospiesznie. Wcale nie była głodna. Chwilę później już zniknęła w swoim pokoju zamykając szczelnie drzwi. Zdjęła powoli swój brązowy płaszcz, zawiesiła go na jedynej szafce, prawdopodobnie skórzane rękawiczki włożyła do kieszeni. Miała na sobie teraz jedynie płócienną, białą koszulę i jakieś tanie spodnie, trochę przyduże. Awrora spojrzała na swą lewą rękę; cała była pokryta ohydnyimi oparzeniami. Westchnęła głęboko gapiąc się na swoją szkaradną skórę.

- Może i jestem kaleką. Ale ja ucieknę z Imperium, a wy będziecie tutaj gnić - rzuciła z satysfakcją. Dziewczyna położyła się na starym łóżku i spojrzała na brudny sufit. Jej pokój był żałośnie mały; było w nim łóżko, jakieś niewielkie biurko, mała szafeczka z jej rzeczami i... tak naprawdę nic więcej. Ale lepsze to niż nic. W głębi serca była wdzięczna starszej kobiecie, że jej nie wyrzuciła na bruk po śmierci ojca, nawet jeśli wynikało to tylko z czystego wyrachowania; wszystkie swoje pieniądze Awrora przeznaczała na dom, który i tak ledwo wiązał koniec z końcem. Macocha była szwaczką, dorabiała czasem przeróżnymi pracami dorywczymi. Dziewczyna pracowała jako asystentka lekarza w portowej klinice, czasem leczyła na własną rękę za skromne pieniądze, by jakoś dorobić, zdarzało się jej kraść trochę jedzenia. Awrora zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę nie miała pojęcia o medycynie. Kiedyś zdobyła jeden tom jakiegoś podręcznika i przestudio-

wała go na tyle dokładnie, by móc chociaż asystować w leczeniu innych. Była to nawet dobra praca, w której jej rany wcale nie przeszkadzały. Gdyby tylko miała pieniądze, Awrora wyrwałaby się z tego żalosnego miasta i pojechała na studia medyczne, ale przecież nie miała wystarczająco pieniędzy, prawie żadnej wstępnej edukacji, kompletny brak jakichkolwiek referencji. Może po drugiej stronie Morza mogłaby się doksztalić, zarobić trochę pieniędzy, skończyć studia?

- Co ja mam ze sobą wziąć? - zapytała samą siebie. Wstała z łóżka, wyjęła z szafy pojemny wór. Wrzuciła do niego swoją ukochaną książkę o medycynie, trochę ubrań, talię starych kart, którą ku swojemu zaskoczeniu znalazła na półce. I wtedy szafa okazała się być pusta.

- To wszystko? - zapytała samą siebie. Nóż miała przy pasie, płaszcz i rękawiczki czekały... Awrora właśnie zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie posiadała niczego. - Jeszcze jedzenie. - Tak naprawdę nie był to zbyt duży problem. Zawsze mogła ukraść je z koszar. Co prawda groził jej za to stryżek, ale przecież żołnierze stojący na warcie zazwyczaj byli zalani do nieprzytomności, a więc nie stanowili szczególnego wyzwania. Awrora nie mogła się powstrzymać od lekkiego uśmiechu. To wszystko wydawało się takie proste.

Kradzież jedzenia faktycznie okazała się być prosta, zwłaszcza gdy dokonywało się jej regularnie; stryżek stryżkiem, a głód głodem. Już nawet nie liczyła ile razy to zrobiła. Znała pewną drogę, którą łatwo było się zakraść do wojskowych zapasów i nabrać tyle, ile mogłeś udźwignąć wciąż szybko biegnąc. Aby zappełnić wór satysfakcjonującą ilością jedzenia, Awrora musiała wykonać aż trzy kursy. Teraz przemierzała swoje portowe miasteczko pośpiesznym, ale cichym krokiem. Księżyc był w pełni; w nocy było stosunkowo dużo światła i jeszcze więcej cieni, w których można było się ukryć przed niepożądanymi obserwatorami. Dziewczyna już niemalże opuszczała miasto, gdy usłyszała za sobą kroki. Zatrzymała się, wtopiła w cień. Jej serce zaczęło bić coraz szybciej, gdy kroki stawały się głośniejsze. Wtedy, nagle ucichły. Awrora odetchnęła z ulgą. Sekundę później poczuła tępy ból u boku głowy, wór ześlizgnął się z jej ramienia i spadł na bruk, gdy dziewczyna przewróciła się na ziemię i otrzymała potężnego kopniaka w brzuch. Stęknęła cicho z bólu i objęła się w pasie. Nie wzywała pomocy. Przecież za wartość jej wora zostałaby powieszona lub, ku jeszcze większej radości ludu, publicznie rozstrzelana. Oczywiście zakładając, że ktokolwiek zdecydowałby się jej pomóc.

- Ciekawe rzeczy chowasz, panienko - młody mężczyzna stojący nad nią powiedział, patrząc na kilkanaście wojskowych konserw leżących na ziemi.

- Idź do diabła, Riurik - dziewczyna wysyczała boleśnie. Rozpoznała go od razu; młody, zaledwie dwudziestopięcioletni syn ważnego urzędnika miejskiego. Nie dość, że denuncjowanie traktował niemalże jak rozrywkę, to był chroniony przez swojego ojca i jego koneksje. Nikt nie chciałby podnieść ręki na Riurika. Wszyscy bali się jego ojca. Awrora doskonale zdawała sobie sprawę, że była w fatalnej sytuacji.

- Wiesz, że za to co ukradłaś można by cię rozstrzelać? - Młodzieniec uśmiechnął się złowieszczo.

- Można by? - dziewczyna zapytała wątpliwie, wciąż leżąc na ziemi. Naprawdę nie spodobało się jej to słowo. A znając swojego napastnika, wiedziała, że nie oznaczało nic dobrego.

- Nawet ładna jesteś, nie licząc blizn, rzecz jasna. Jeśli nie chcesz umrzeć, zawsze możesz coś dla mnie zrobić - Riurik uśmiechnął się dwuznacznie. „Coś”. Awrora nienawidziła takich dwuznacznych sugestii. Zawsze oznaczały jedno. Dziewczyna chciała wstać, lecz wtedy chłopak kopnął ją potężnie. Przetoczyła się i upadła plecami w kałużę. Napastnik stanął nad nią i uśmiechnął się szelmowsko.

- A więc chcesz być rozstrzelana, czy wykażesz się odrobiną rozsądku? - przyjrzał się jej uważnie. Awrora spiorunowała go spojrzeniem pełnym pogardy. - O nic się nie martw, przyjdiesz do mnie, załatwimy to szybko i będzie po sprawie - zapewnił.

- Zgoda - wysyczała wściekle.

- Tego się spo... - Riurik uśmiechnął się i chciał coś powiedzieć, ale wtedy dziewczyna kopnęła go w krocze. Napastnik zgiął się w pół, jej następny kopniak dosięgnął jego twarzy. Chłopak zachwiał się, cofnął kilka kroków, ale nie upadł. Był twardy, potrafił się bić. Ale Awrora była szybka, a jego chwila zawahania dała jej aż nadto czasu. Wstała, chwyciła jego usta by nie wydał najcichszego dźwięku. Czy Riurika rozszerzyły się w przerażeniu, gdy dostrzegł nóż w jej dłoni. Zrozumiał. Zdecydowanie za późno. Dziewczyna zakończyła jego żalosne życie jednym chirurgicznym cięciem noża w krtań. Pchnęła go subtelnie, pozwoliła ciału upaść. Spojrzała na nie chłodno, bez emocji. Jeszcze nigdy nie zabiła człowieka, ale tak naprawdę... nie wywarło to na niej szczególnego wrażenia. Już widziała śmierć ludzi znacznie jej bliższych, niż ten śmieć leżący przed nią. Awrora nachyliła się nad nim i otarła krew pokrywającą ostrze o jego nogawkę. Schowała nóż,

następnie pospiesznie zabrała wszystkie konserwy do jej worka. Chwilę później raz jeszcze zniknęła w mroku.

Gdy Awrora przysła przed wejście do jaskini, Nazarij już tam czekał, widocznie zniecierpliwiony. Rozpalił pochodnię i uśmiechnął się do dziewczyny lekko.

- Przez chwilę bałem się, że przyjdiesz z wojskowymi - odetchnął z ulgą.

- A ja byłam pewna, że będą czekali tutaj - dziewczyna również odpowiedziała uśmiechem. Rybak przyjrzał się uważnie jej ubraniu.

- Jesteś cała we krwi. Co się stało? - zapytał zmartwiony.

- Nie martw się, nie mojej. Nic wartego opowiadania - Awrora zapewniła krótko - Idziemy? - spojrzała na rybaka niecierpliwie. Starszy mężczyzna kiwnął głową i zeszedł do jaskini. W chwilę później byli już przy łodzi. Dziewczyna wrzuciła swój wór pod dziób.

- Dużo masz rzeczy, panienko Grustny - zauważył Nazarij.

- To głównie jedzenie i kilka ubrań. Nic więcej - Awrora zapewniła zeskakując z łodzi. Razem z rybakim odblokowali wyjście z jaskini sprytnie przykryte konarami, kamieniami i piachem. Zajęło im to trochę ponad godzinę, aż w końcu zobaczyli w oddali księżyc w pełni, który unosił się wysoko nad horyzontem. Oboje weszli do łodzi, Nazarij odcumował i na wiosłach wypłynęli z jaskini na głęboką wodę.

- Przytrzymaj ster, postawię grota - rozkazał. Awrora siadła na burcie i chwyciła roгатnicę. W międzyczasie rybak podszedł do masztu i na burcie zaczął operować linami. - Umiesz żeglować? - zapytał.

- Znam teorię, ale nigdy nie żeglowałam - dziewczyna wyznała. - Kiedy będziemy po drugiej stronie? - spojrzała na niego ciekawie.

- Mamy mocne, zachodnie wiatry. W dwa tygodnie powinniśmy tam być - Nazarij zapewnił, patrząc na wodę. Zaknagował fał grota i przejął ster. - Postaw fokę, skoro twierdysz, że wiesz jak - powiedział.

Awrora skinęła lekko, wskoczyła na dziób. Chciała się odwrócić do masztu i zająć fokiem, ale wtedy, zatrzymała się i spojrzała na niekończące się ciemne wody. Mroczna tkanina falowała w ciemnej nocy błyszcząc przepięknym światłem gwiazd i okrągłej tarczy księżyca. W całym swoim dotychczasowym życiu w Imperium Awrora widziała naprawdę mało piękna. Wszystko tam wydawało się takie szare, ohydne. Ale ona tam nie wracała. Jej serce tańczyło z radości, gdy powoli uświadamiała sobie, że raz na zawsze opuściła ten przeklęty łód, którym gardziła z całego serca.

Aleksander Nowak

Przez całą wieczność

Witalij czekał na plaży przy jedynym na niej drzewie. Morze łagodnie szumiało, ale on stawał się coraz bardziej znieczcierpliwiony i zdenerwowany. Osoba na którą czekał spóźniała się już dobre pół godziny. Poprawił sobie czerwona chustę na głowie, rzucił swoją jasną kurtkę na ziemię i usiadł na nią. Patrzył się w oddali na syreny, jak skaczą niczym delfiny, nurkują. Podziwiał również ich urodę, choć przerażały go ogony rybnie u kobiet.

Za cyplem ukazał się mały słup gaflowy o nazwie "Wierna", od razu rozpoznał czyja była ta czarna żaglówka. Zdziwiło go tylko, że grotżagiel był porwany. Na pokładzie zobaczył postać w długich czarnych włosach spiętych w koński ogon, siedzącą na rufie bez koszulki. "No, no. Alojzy nic się nie zmienił" - pomyślał Witalij, po czym wbiegł do wody po kolana, złapał za dziób i zaczął ciągnąć łódkę do brzegu. Gdy już wciągnęli łódkę na plażę i sklarowali żagle i cumy, znieczcierpliwiony rzekł;

- Dlaczego kazałeś mi tu przyjść? O co chodzi?

- Spokojnie. Może najpierw opowiesz co u ciebie? - Alojzy uśmiechnął się, wkładając koszulę. Usiadł na burcie "Wiernej".

- A może najpierw oddasz mi moje sto koron, które to niby miałeś pożyczyć tylko na chwilę? He?

- Ależ Witaliju, czy ja ciebie kiedykolwiek okradłem...

- Tak, kilka razy - przerwał mu tamten. - Dobra mów od razu o co chodzi - Wit był coraz bardziej znieczcierpliwiony.

- Potrzebuję pieniędzy na nowy grotżagiel. Podczas sztormu zerwało dwie łaty z żagla, a silny wiatr porwał to co zostało... Gdzie ty idziesz?! - Alojzy zerwał się z burty i ruszył za kolegą.

- Nie pożyczę ci więcej pieniędzy - mówił Witalij idąc w stronę miasta. - Mogłeś już w tym cholernym liście napisać, że znowu chcesz kasy, to bym w ogóle nie przychodził. Chociaż... Mogłem się domyśleć, że chcesz pożyczkę...

- Jaką pożyczkę? - Alojzy biegł za nim. - To złoty interes...

- Ty i te twoje złote interesy. I jeszcze czego, mam ci może dać te pieniądze, o nie nie nie, chyba cię główka boli.

- Nie masz mi ich dać, tylko... hmm... zainwestować w ten żagiel. Ja muszę żeglować, bez tego nie mam życia, a na samym fokżaglu to nigdzie nie dopłynę - żalił się Alojzy.

Witalij zatrzymał się.

- Dobra, mów o tym swoim 'interesie'? tylko szybko, bo mam mało czasu.

- No więc tak, wpływa w tą zatokę codziennie dość duży kecz bermudzki "Bałałajka". Ma on jednak zbyt duże zanurzenie, aby dopłynąć do brzegu. I tu wkraczam ja - kapitan Wiernej szeroko się uśmiechnął. - Podpływam do nich moim ukochanym słupem, oni przekazują mi towar i moją zapłatę. I tu uwaga - dwieście koron za jeden transport do brzegu!

- Co to za towar? - spytał nadal nieprzekonany Witalij.

- Perły. A poza tym poszukuje pomocnika, z którym będę dzielił się po połowie. Wchodzisz w to?

- Dwieście koron powiadasz... Stówka dziennie... Zaraz, a ile by kosztował grotżagiel?

- Tysiąc... Ale to ci się zwróci już po dziesięciu dniach...

- Dobra, wchodzę w to.

I nasi bohaterowie mocno uścisnęli sobie dłonie.

- W takim razie - mówił Alojzy - jutro o świcie pierwsza dostawa.

Wyłynęli. Nowy grot bardzo dobrze pracował. Sunęli błyskawicznie w ostrym bajdewindzie. W oddali Witalij zobaczył jacht nieco większy od nich z dwoma masztami. Na burcie widniał napis "Bałałajka". Zapytał:

- To ten statek?

- Tak, prowadzony przez kapitana Tarnarossę.

- Mówiłeś że ma za duże zanurzenie. Przecież on jest niewiele większy od nas. Spokojnie zmieściłby się przy brzegu.

- Powtarzałem tylko słowa samego kapitana - odparł Alojzy.

Witalij i tak był pewien swego. "Będę musiał o tym porozmawiać z samym kapitanem" - myślał.

- Ahoj żeglarze! - usłyszeli gruby głos ze statku. - Jesteście po nową dostawę pereł?

- Tak kapitanie - odpowiedział sternik Wiernej do mężczyzny w kapeluszu ubranego w długi czarny płaszcz.

- Zapraszam więc na pokład.

Zwinęli żagle i przycumowali się do Bałałajki. Następnie obydwaj weszli na pokład, na którym stał tylko Tarnarossa. Po załadowaniu pereł na Wierną, Witalij nadal będąc zaciekawiony zanurzeniem statku, spytał:

- Czy to prawda że dla bałałajki przy brzegu jest za płytko?

- Tak - odparł kapitan.

- To dlaczego w takim razie statek może stać tu gdzie teraz, skoro głębokość od tego miejsca do brzegu się nie zmienia?

Tarnarossa westchnął.

- Naprawdę chcesz wiedzieć dlaczego muszę wynajmować was, aby dostarczyć pereł do miasta?

Witalij przytaknął.

- To chodź proszę do mojej kajuty.

- Poczekam na ciebie na Wiernej - powiedział Alojzy, kiedy oni już znikali pod pokładem.

* * *

- Zanim pan mi wszystko wytłumaczy - zaczął Witalij, kiedy już weszli do kajuty - mogę się spytać o coś jeszcze?

- Proszę bardzo.

- Czy pan jest tu sam? To znaczy, czy pan sam steruje statkiem?

- Tak, z tym również wiąże się historia, którą chciałbym panu opowiedzieć - rzekł Tarnarossa.

- Zamieniam się w słuch - powiedział Witalij. Był bardzo ciekawy czego się dowie.

- Pięć lat temu, kiedy pływałem na Bałałajce jeszcze z załogą przy wysepce Falijskiej, natknęliśmy się na węża morskiego. Był wielkości człowieka, więc bez przeszkód wpełznął na nasz pokład. Otrząsnął swój zielony tułów z wody, popatrzał się dużymi, inteligentnymi oczami na naszą załogę i zapytał się pierwszego oficera, który stał najbliżej niego: "Co to jest? Nie możesz tego zobaczyć, za to możesz to usłyszeć. Nie powie nic do ciebie, póki sam niczego nie wypowiesz." Majtek przerażony odpowiedział "Głos". "Źle!" krzyknął wąż i udusił go swym ogonem. Niestety, cała reszta załogi również źle odpowiedziała poza jednym majtkiem, zaraz przede mną. "Może ty znasz odpowiedź na moją zagadkę?" - zasyczał wąż. "Echo" powiedział tamten. Potwór zaśmiał się demonicznie. "Dobrze. A czy mógłbyś żeglować całe swoje życie na jednym statku, nie schodząc ani razu na ląd i będąc jednocześnie jedyną osobą na łodzi, codziennie poławiać tysiące pereł?" Majtek

powiedział "Nie, to niemożliwe" wąż zasyczał i go również udusił. Spojrzał się na mnie. "Kapitanie Tarnarossa, a czy pan mógłby żeglować cały czas samotnie na jednym statku poławiającym perły? i nie schodzić nigdy na ląd". Pamiętając co się stało z moim poprzednikiem odpowiedziałem "Tak, mógłbym". "Dobrze więc, będziesz żyć. Z klątwą. Od teraz musisz żeglować samotnie na Bałałajce poławiając perły. Jeżeli staniesz na lądzie, umrzesz. Dla ciebie żeglowanie stanie się koniecznością" to powiedziawszy wąż wskoczył do wody. Od tamtego czasu pływam cały czas, a im bliżej jestem lądu, tym większy czuje ból w całym ciele. Tylko żeglowanie przynosi mi ukojenie. Dlatego nie mogę stanąć przy brzegu i sam dostarczyć pereł.

- Czy jest sposób, aby zdjąć klątwę? - zapytał Witalij.

- Ktoś musi popłynąć do wybrzeży wyspy Falija i odpowiedzieć na zagadkę...

W tej chwili rozległo się głośne pukanie.

- Witalij chodź już, musimy wracać bo zbiera się na burzę.

- Już idę - odpowiedział. - Uwolnię pana od klątwy, kapitanie Tarnarossa - powiedział i wyszedł z kajuty.

- Pamiętaj tylko ze jeśli...

Reszty Witalij nie usłyszał, bo zasunął suwklapę i wskoczył do Wiernej, odcumowywanej przez Alojzego.

- Pożyczysz mi po burzy Wierną?

- Oczywiście, kiedy tylko chcesz. Tylko powiedz mi chociaż, gdzie płynie?

- Na wyspę Falija.

* * *

Wierna sunęła po falach. Witalij widział już na horyzoncie Faliję i lada moment spodziewał się węża. Nagle wiatr przestał wiać, żaglówka po chwili zatrzymała się i z morza wyłonił się wąż morski. Patrzył na sternika dużymi, zielonymi oczami. Nie miał rąk, ani nóg, lecz człowiek i tak obawiał się, że wąż może mu zrobić krzywdę.

- Witaj ssssssss Witaliju - zasyczał. - Co cię do mnie sprowadza?

- Chcę zdjąć klątwę z kapitana Tarnarossy

- W takim razie odpowiedz na moją zagadkę. Gdzie znajdę miasto bez domów, rzeki bez wody i lasy bez drzew?

- Myślę że... - Witalij zastanowił się. - Na mapie.

- Dobra odpowiedź.....sssssss... - wąż chytrze się uśmiechnął. - A czy nigdy nie schodząc na ląd, mógłbyś samotnie pływać na Bałałajce i poławiać perły

Witalij przestraszył się, bo wiedział co się stanie kiedy odpowie.
- Tak, mógłbym.
- Wobec tego kapitan Tarnarossa może wrócić na ląd, ale ty zajmiesz jego miejsce. Na takich samych warunkach...
Nagle łódka zachwiała się i Witalij wpadł do wody .

* * *

Gdy odzyskał przytomność stał za sterem Bałałajki w długim czarnym płaszczu. Przed sobą zobaczył kapitana Tarnarossę ubranego w szarą koszulę i brązowe spodnie.

- Dziękuję... i przepraszam - powiedział były kapitan. - Nie zdążyłem ci powiedzieć co będzie konsekwencją dobrej odpowiedzi.

Witalij spojrział się w stronę dalekiego lądu. Poczł ból w całym ciele.

- Od dziś będziesz żeglował na Bałałajce. Przez całą wieczność.

Mateusz Wasilka

Nie wystarczy wejść na pokład...

- A niech to diabli! – Krzyknął głośno mężczyzna, kiedy kolejna kropla atramentu splamiła pustą od słów kartkę. Gwałtowne słowa szybko wtopiły się w ciszę i spokój niewielkiego, biednie wyposażonego pokoju, w którym przebywał Roman Spurcuski. Już od piętnastu lat mieszkał na parterze tej nędznej kamienicy, która znajdowała się w nader obskurnej dzielnicy Gdańska.

- Wszystko jest takie monotonne i bezbarwne. Moje życie... Skończę tak jak ten Stanisław Korab jakiś tam. Chociaż nie, z jedną różnicą... - tym razem mężczyzna wypowiedział słowa łagodnie, z pewnego rodzaju czułością, jakby były przeznaczone dla ucha osoby, stojącej najwyżej stopę od niego.

Spurcuski nagle poderwał się z krzesła, a zrobił to z tak niebywałą szybkością, że mógłby zawstydzić niejednego młodzika. Stał na równe nogi, jeszcze raz spojrzął z pogardą na pobrudzony kawałek papieru, nad którym pracował od wielu godzin. Twarz mężczyzny wykrzywił grymas. *To już koniec, to definitywny koniec* – przemknęło mu przez głowę. Odwrócił się tyłem do miejsca swojej codziennej pracy, a właściwie, miejsca nieudolnych prób. Powolnym krokiem ruszył w stronę ubogo wyglądających drzwiczek łazienki. Nie wszedł jednak od razu do pomieszczenia. Palce mężczyzny kurczowo uchwyciły się klamki, dało słyszeć się głośne westchnienie. *Znów to trawiące uczucie, uczucie niepokoju i zbliżającego się nieuchronnie końca. Potrzebuje je czymś przygasić. I znów będę musiał polegać na zbawiennej sile zielonego trunku* – pomyślał ponuro w duchu. *Skończę jak oni wszyscy, jak wszyscy...* Zaraz potem zawahał się. *Ale czy na pewno? Nie jestem taki jak oni, plugawi improduktywi, a nazywają siebie artystami. Artystami! A może prawdziwi artyści przeminęli już na zawsze wraz z Bonapartym?* Kończąc tę niezbyt pomyslną dlań myśl, uporał się w końcu z niewielkimi drzwiami i stanął przed umywalką. Jedyne, czego potrzebował to przemyć twarz zimną wodą. Potem przyjrzał się dokładnie swojemu odbiciu w lustrze. Kasztanowe kędziory lekko już przyprószone siwizną, głęboko osadzone, jasnoniebieskie oczy niegdyś błyszczące świeżością i na-

dzieją. *Fortuna favet fortibus, los sprzyja dzielnym! Nabierz wiatru w żagle i ruszaj podbić świat. Wszystko jeszcze przed tobą, przed nami...* - tak przed laty mawiała Małgorzata, pierwsza i ostatnia miłość Spurcuskiego, dopóki nie zachorowała na gruźlicę i nie zmarła. *Wiatr w żagle, ha! Cóż za ironia, czuję się raczej jak wrak statku, którego żagle są brunatne od starości i poszarpane przez ptactwo. Nie, nie, jaki tam wrak... raczej samotna tratwa puszczona na pełne morze, która nigdy tych żagli nie posiadała* - zaśmiał się żałośnie w duchu.

Zabiegi toaletowe nie zajęły Spurcuskiemu wiele czasu. Wychodząc z łazienki mężczyzna rzucił jeszcze jedno smutne spojrzenie na pokój i zaczął przyodziewać na siebie szary, nienajlepszej jakości płaszcz, co by go, choć trochę uchronił przed wieczornym chłodem listopadowego wiatru. Czarne, kilkuletnie buty dopełniły niedbałego wizerunku. Spurcuski nigdy jednak nie przykładął większej wagi do swojego ubioru, uważał, bowiem, że w człowieku liczy się charakter i temperament. Jako że, ubogi jest miliarder gwałtowny, brutalny, nieznający wartości prawdziwej sztuki, magii nieśmiertelnego słowa.

Powiew zimnego wiatru przedarł się przez płachty płaszcza Spurcuskiego, jakby ten chciał głośno zaalarmować o zbliżającej się zimie. Mężczyzna szedł ulicą Smętną, a panujący wokół chłód był mu zupełnie obojętny. Jego myśli w tej chwili pochłonał idealnie skrojony w okrąg księżyc, znajdujący się ot, kawałek nad jego głową. I szedł w ten sposób, zupełnie pochłonięty pięknem wieczornego nieba dopóty, dopóki jego uwagi nie przyciągnęły głośne rozmowy i światło sączące się z okien szynku, znajdującego się niepełna kilka metrów od niego. Coś poruszyło się mocniej w piersi mężczyzny. *To już pewnego rodzaju rytuał* - pomyślał, spoglądając na dobrze mu znany, średniej wielkości budynek z czerwonej cegły. *Ale czy cokolwiek jeszcze jest w stanie uśmierzyć mój ból? Potrzebuje zapaść się w słodkiej pustce, a nie dryfować na tratwie i zmagać się z żywiołami uczuć.*

Spurcuski wszedł do środka. Pierwszym, co odczuł było przyjemne ciepło panujące w pomieszczeniu. Następnie, z pewną odrazą spostrzegł, że w szynku jest wielu ludzi. *Ale czy to ważne? Po pewnym czasie przestaną mi zawadzać. Kiedy struję swój organizm odpowiednią ilością absyntu* - dodał w myślach z nutką cynizmu.

Mężczyzna odwiesił płaszcz, zostając jedynie w bawełnianej, ciemnofioletowej koszuli. Przez chwilę szukał rozbieganym wzrokiem pustego stolika. Dojrawszy cel podążył ku niemu szybkim krokiem. Poprosił kelnera o trunek, dużo trunku. *Aby ugasić ból* - przemknęło mu przez myśl. *Przyroda nie*

koi mego umysłu, życie chłopca mnie nie interesuje, a kobiety nie mam... Wziął pierwszy łyk. Kupki smakowe od razu wyczuły dobrze znaną gorycz, a gardło ogarnęło przyjemne ciepło.

- Witam szanownego pana. Antoni Inachowicz.

Spurcuski uniósł głowę. Spozrzegł stojącego przed nim starszego mężczyznę z wyciągniętą doń dłonią. Nie chcąc wyglądać na zaskoczonego otwartością nieznanego, uściśnął dłoń przybysza i przedstawił się.

- Witam, Roman Spurcuski – odparł jak najspokojniej potrafił. Nie miał w tym momencie najmniejszej ochoty na rozmowę, spostrzegł jednak, że nieznanomy szybko umościł się na krześle naprzeciw niego i nie wyglądał na człowieka, którego będzie łatwo odwieść od pomysłu konwersacji.

- Ach, Roman... inteligentny, nieposkromiony odkrywca, zapewne indywidualista. Sądząc po koszuli, bodajże jest pan jednym z tych rzekomych artystów, którzy chcą przewodniczyć społeczeństwu, a własnego życia poukładać nie potrafią – to mówiąc zaczerpnął wielki łyk z kufła, z którym przyszedł.

- Przepraszam bardzo, ale jak ma się do tego wszystkiego moja koszula? – Spurcuski nieco się zirytował.

- Nie chodzi o materiał, czy krój, mam na myśli kolor. Powszechnie wiadomo, że fiolet to kolor ludzi zainteresowanych sferą duchową, pragnących uzyskać odpowiedzi na pytania egzystencjalne. Do tego pana niedbały strój, kieliszki absyntu przed nosem i ten rozbiegany, smutny wzrok... Pan musi być artystą!

- Nie założyłem tej koszuli, aby afiszować swą osobowość. Naprawdę, nie rozumiem...

- Kto, jak kto, ale pan akurat rozumieć powinien. Tu chodzi o ludzką podświadomość! Pańska wielce umęczona dusza potrzebuje ujawnić swój ból światu...

- Dobrze, dobrze, niech będzie, że się z panem zgodzę. Jednak, do czego ta rozmowa ma prowadzić? Przychodzi pan tu do mnie i udaje, że wie wszystko o ludziach, ot, tylko na nich patrząc. Proszę mi powiedzieć, dlaczego ja? Jest tu wielu ludzi, którzy zapewne bardziej ucieszyliby się z pańskiego towarzystwa, panie Inachowicz. Zapytam, więc ponownie, dlaczego ja? – Odparł już nieco znużonym głosem. Naprawdę nie widział celu tej rozmowy. Nie wiedział już nawet, po co przyszedł do tego miejsca. W tej chwili czuł jedynie potrzebę samotności... no i alkoholu.

- Jeśliś pan ciekaw to odpowiem, dlaczego akurat pan. Od razu rozpoznałem w panu niespokojną duszę, a przyrzekłem sobie w 1886 roku, że

jak tylko rozpoznam człowieka na krawędzi, spróbuję mu pomóc. I tak oto padło na pana. Sam jestem człowiekiem rozumu, pracuję w kancelarii prawniczej. Nie powiem, życie według prostych, logicznych zasad nie gwarantuje braku doświadczania cierpienia i bólu. Nie jest to jednak ból i udręka, których doświadczają tacy jak pan. Ach tak... słyszałem o ludziach, którzy poświęcają się pisaniu, graniu na deskach najlepszych teatrów. Niestety muszą pana zmartwić, wielu z nich nie kończy dobrze. Tacy jak pan zbyt szybko oddają się w śmiertelne ramiona Kostuchy, zdecydowanie zbyt szybko... A poprzedzają tę śmierć rzeczy niesłychane: paranoje, straszne myśli, jakby zesłane przez samego Belzebuba...

Antoni Inachowicz kontynuował swój wywód, jednak Spurcuski w pewnym momencie przestał go słuchać, kosztowało go to zbyt wiele energii i przede wszystkim koncentracji, którą powoli odbierał mu zielony napitek. Nie chcąc wyjść na ignoranta, Spurcuski zaczął na pierwszą pauzę w wypowiedzi nieznanego i uchwycił się jedynej myśli, którą zapamiętał.

- Przepraszam, jeśli mogę spytać, co takiego wydarzyło się w 1886 roku?

- Ach... - z Inachowicza znikł nagle cały poprzedni rezon. Upił odrobinę stojącego przed nim trunku i zamyślił się. W momencie, gdy Spurcuski pomyślał już, że nieznanomy nie ma zamiaru odpowiadać, ten odezwał się znowu. Tym razem w jego głosie dało słyszeć się nowy żal. – Słyszał pan może o *SS City of Paris*? W osiemdziesiątym szóstym ów statek uderzył w górę lodową. Wtedy właśnie zginęli moi rodzice. To była ich trzydziesta piąta rocznica ślubu... Nie mam do nikogo pretensji, pogodziłem się ze stratą. Każdy stracił w życiu kogoś ważnego. Jednak od tamtej pory postanowiłem być lepszym człowiekiem i w miarę swoich możliwości, pomagać innym – mężczyzna utkwiał wzrok w blacie stołu i zamyślił się na chwilę, po czym zaczął kontynuować z nowym zapałem. - Bo widzisz panie Spurcuski, całe nasze życie to jedna wielka podróż statkiem. Nikt nas nie pyta, czy chcemy wybrać się w ten rejs. Nie usłyszymy również pytań o ewentualną chorobę morską, która potrafi nieraz odebrać cały urok podróży. Nikt również nie ostrzega nas przed nieuprzejmą załogą, pijanym kapitanem, niesmacznym jedzeniem, czy potencjalnymi sztormami. Tak naprawdę nie wiemy nic i nie mamy pojęcia, dokąd płyniemy. Bo widzisz panie Spurcuski, nie wystarczy wejść na pokład i czekać aż dotrzemy do ostatecznego celu. Chodzi o to, aby w całej tej podróży znaleźć przyjemność. Wszystko zależy od naszego nastawienia. Jeśli nie wstaniemy lewą nogą, może okazać się, że nasz podchmielony kapitan zna masę dobrych dowcipów, osoba z załogi może okazać się naszą bratnią duszą, a do wiecznie przesolonej ryby można się przyz-

wyczaić – Antoni Inachowicz zrobił kolejną krótką przerwę w swoim wywodzie, wziął łyk trunku i zniżył nieco swój głos. - Niektórzy jednak nie starają się dojrzeć dobrych stron podróży. Niektórych za nadto pochłaniają myśli o możliwości ucieczki, zakończenia trudów... Bo widzisz panie Spurcuski, niektórych za bardzo kusi możliwość wyskoczenia za burtę...

- Ha! Teraz mówisz pan jak prawdziwy poeta, przenośnią. Chyba jednak nie różnimy się tak bardzo... Wracając jednak do tego, co pan powiedział. Może ma pan rację, może nasze życie jest jak podróż statkiem. Zatem wedle tej idei, mój statek to zwyczajna tratwa, bez załogi, bez kucharza, bez jakichkolwiek ludzi. A ja potrzebuję publiczności, widowni, która będzie mnie okłaskiwać. Jestem kapitanem własnej tratwy, którą okalają morskie głębiny. Zazwyczaj budzą we mnie strach, ale bywają chwile, kiedy owe odmęty przyciągają... Pan tego nie zrozumie, aby stworzyć arcydzieło potrzebne są emocje, których nikt jeszcze nie odczuł, doznanie, których nikt nie doświadczył...

- I tu właśnie tkwi pana problem, panie Spurcuski – rzekł z pasją Inachowicz. - Pan chce być kapitanem, przewodnikiem społeczeństwa, tak jak niegdyś wielcy wieszczowie za czasów Napoleona. Cały ambaras polega na pańskim dążeniu do tego ostatecznego celu, stworzeniu nieśmiertelnego. I jest to cel piękny oczywiście, bardzo ambitny. Jednakże zamierzenie to za nadto zatruwa pańską głowę. Przez to nie dostrzega pan innych, mniejszych celów i związanych z nimi przyjemności.

- Pan nie rozumie... ja nie "chcę", ja muszę. Nigdy nie obudziłem się z myślą "chcę zostać artystą". Taki się urodziłem, nie potrafię być nikim innym. Drwi pan z mojej chęci posiadania władzy nad ludźmi? A co pan robi w tej kancelarii? Sądzi! Sądzi pan ludzi, panie Inachowicz, mówi im, co jest złe, a co dobre. Tak naprawdę jedyne, do czego dążą wszyscy, to władza! A tak! – Krzyknął z nowym zapałem Spurcuski. – Wszyscy chcą być bogaci, ponieważ pieniądze dostarczają bardzo szerokiego zakresu władzy. Dzięki monetom posiadamy władzę wygodniejszego życia, wiecznie pełnego żołądka. Nawet miłość... to tylko chęć posiadania władzy nad uczuciami drugiej osoby...

- Zaiste ciekawe wygłasza pan poglądy, jednak nie są one do przyswojenia na jeden wieczór, zdecydowanie nie... Wracając jednak do pana życia, panie Spurcuski. Seneka niegdyś powiedział: „vivere militare est”, więc niech pan walczy, panie Spurcuski. Wierzę, że nadpłynie w końcu odpowiedni statek i rzuci panu koło ratunkowe. Kiedy tak się stanie, proszę mi obiecać panie Spurcuski, że nie wyprze się pan tego koła, proszę je przyjąć.

- A jeśli nigdy takowy statek nie nadpłynie, lub zrobi to, gdy będzie już za późno? Obawiam się panie Inachowicz, że nim ktokolwiek zechce mnie poratować, prędzej zostanę zniszczony. Zrzucają mnie morskie żywioły, najlichsza burza, silniejszy wiatr czy deszcz przewrócą mą mizerną tratwę. Albo, zanim nadejdą żywioły ziemi, sam prędzej siebie rozgromię. Skłoni mnie do tego głód, pragnienie niemożliwego. Pan tego nie zrozumie, to trawi mnie od środka. Codziennie, bez ustanku... - Spurcuski nagle poczuł się bardzo zmęczony. Zerwał się szybko z krzesła, uczynił to jednak byt gwałtownie, gdyż przewrócił trunek znajdujący się na stole. Wycedził niezgrabne przepraszam i ruszył chwiejnym krokiem w stronę wyjścia. Przez cały ten pośpiech zapomniał nawet wziąć ze sobą płaszcz. Naraz uderzył go podmuch bezlitośnie zimnego wiatru, jednak nawet taki szok nie potrafił przywrócić zdolności trzeźwego myślenia pijanemu mężczyźnie. Spurcuski pos-tąpił kilka niepewnych kroków do przodu, zachwiał się i upadł z wielkim hukiem. Wtem otwały się drzwi szynku, z których wypadł Antoni Inachowicz.

- Och! Panie Spurcuski... już panu pomagam, proszę mi tylko powiedzieć, gdzie pan mieszka...

* * *

Cichy pomruk wzburzonych fal morskich. Niewielki ból w stopach spowodowany naciskiem drobnych kamyczków. Minął już tydzień od nietuzinkowej rozmowy niedosłęgo pisarza z Antonim Inachowiczem, jednak wzburzone przez prawnika myśli nie dawały Spurcuskiemu spokoju. Każdego wieczoru udawał się on na plażę, przysiadał na piasku i przyglądał się morzu, rozmyślając. Jednak tego wieczoru coś się zmieniło. Wzrok mężczyzny wydawał się jeszcze bardziej nieobecny, a ciało Spurcuskiego emanowało jeszcze większym niż dotychczas smutkiem i żalem. Lewa dłoń mężczyzny preraźliwie drgała, ściskając kurczowo białą kopertę.

- Może to właśnie Ciebie miał na myśli Inachowicz? Może to właśnie Ty jesteś tym statkiem, tym, który ma okazję mnie uratować? Ech... - Spurcuski westchnął smutno. - Ale czy zdążysz? Ta głębia... niezbadana otchłań skrzęca się pod moją tratwą, tak bardzo mnie przyciąga. Nie pozwól mi zatonać, nie pozwól zginąć! Nie pozwól mi się zabić...

Mężczyzna jeszcze mocniej zacisnął palce na liście, spojrzał przed siebie na morze, coraz bardziej wzburzone, coraz ciemniejsze i groźniejsze.

Spurcuski obejrzał się za siebie. Na plaży nie było żywej duszy. Tylko on i morze, które okazało się jedynym świadkiem gorzkich łez zagubionego mężczyzny.

Aleksandra Mielewczyk

Dryf

Z zamyślenia wyrwało mnie gwałtowne hamowanie pociągu. Gdyby nie ono, z pewnością przegapiłabym stację, na której zawsze wysiadam, przez co spóźniłabym się do szkoły. Na moje nieszczęście, SKM-ki w poniedziałkowe poranki są wypchane ludźmi po brzegi. Mruczając "przepraszam" pod nosem, zaczęłam przeciskać się do wyjścia. Kilka osób zdążyło już wsiąść, zanim dotarłam do drzwi. Jakiś tęgi jegomość, widząc moje podenerwowanie, zwyczajnie wypchnął mnie z kolejki, co, choć brutalne, okazało się bardzo skuteczne. Postąpiłam kilka chwiejnych kroków, zanim złapałam równowagę. Odetchnęłam z ulgą i ruszyłam w kierunku przejścia, zaciskając obie ręce na pasku od torby, jak to miałam w zwyczaju. Tylko że paska nie było...

Odwróciłam się szybko, by zobaczyć ostatnich pasażerów wsiadających do pociągu. Może gdybym od razu pobiegła, zdążyłabym wejść razem z nimi. Ale nie zrobiłam tego - chwila wahania i już usłyszałam odgłos zamykających się drzwi i odjeżdżającego pociągu. Stałam tak chwilę z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w miejsce, gdzie siedziałam i gdzie najprawdopodobniej była moja torba. Sama w sobie nie była zbyt wartościowa, ale miałam w niej klucze od mieszkania, legitymację szkolną, portfel z biletem i drobnymi oraz oczywiście podręczniki i zeszyty. Tylko że nie dogonię uciekającego pociągu. Opuściłam luźno ręce, odwróciłam się na pięcie i szurając nogami, ruszyłam do szkoły.

- Hej, ty! W czerwonym płaszczu!

Mój płaszcz był czerwony, więc się odwróciłam. Chłopak na oko w moim wieku biegł z moją torbą w ręku.

- To twoje, prawda? - Tylko potaknęłam, zbyt zdziwiona własnym szczęściem. - Wołałem cię, ale chyba za wszelką cenę chciałaś się wydostać z pociągu. Więc wybiegłem za tobą! Proszę. - Podał mi torbę, którą wzięłam od niego trochę niepewnie. Cieszyłam się, że ją odzyskałam. Ale z drugiej strony, nie lubię nieznanym. Chciałam, żeby już sobie poszedł, czułam się

nieswojo, a w dodatku nieznamy jakby oczekiwał jakiejś konkretnej reakcji z mojej strony. Niezręczne milczenie przerwał komunikat puszczone przez dworcowy głośnik.

- "Uwaga! Na tor 501 w kierunku Gdańska wjedzie pociąg do stacji Sopot Wyścigi. Prosimy zachować ostrożność."

- To mój, jeśli nim nie pojedę, to się spóźnię. - Po krótkim namyśle wyjął długopis, oderwał kartkę z zeszytu i coś na niej napisał, po czym wręczył mi. - Jakbyś chciała kiedyś porozmawiać na temat gubienia rzeczy, to z chęcią wybrałbym się z tobą na kawę. - Uśmiechnął się przyjaźnie, po czym machając na pożegnanie, udał się z powrotem pod żółtą linię określającą bezpieczne miejsce postojowe.

Spojrzałam na karteczkę z imieniem i nazwiskiem oraz numerem telefonu, po czym schowałam go do kieszeni spodni. Pewnie już nigdy nie spotkam tego człowieka, bo niby po co?

* * *

Siedziałam na tratwie. Nie było na niej nic, prócz mnie w białej sukience. Na niebie żadna chmurka nie śmiała przysłonić błękitu nieba. Lekki wiatr muskał mój policzek. Tratwa kołysała się na wodzie. Nie miałam pojęcia, gdzie się znajduję, ale nie przerażało mnie to. Rozejrzałam się - wokół mnie pływały tysiące łódek wszelkiego rodzaju, od kajaków zaczynając, na ogromnych tankowcach kończąc. Przemieszczały się w chaotycznym tańcu, ale jakimś cudem nie zderzały się ze sobą. Każda zmierzała w kierunku jakiejś wysepki czy lądu. Niektóre były blisko, inne tak daleko, że przysłaniały je horyzont, ale byłam pewna, że tam są. Tylko moja tratwa dryfowała niesiona prądem morskim.

Spojrzałam w dół, żeby ocenić, czy utonę, jeśli wpadnę do wody. Woda była przejrzysta, prawie jak powietrze. Tylko delikatny lazurowy odcień i odbijająca niebo tafła świadczyły o tym, że nie unosiłam się w powietrzu. Oczarowana oglądałam rafy koralowe i miliony skrytych wśród nich rybek. Falujące wodorosty wyrastały z nierównych skał wszelkich kolorów. Ułożyłam się wygodniej, by podziwiać te niesamowite widoki, gdy ktoś krzyknął.

- Hej, ty! Tak, ty na tratwie! To znowu ja!

Uniosłam głowę. Na omedze z wielkimi, białymi żaglami płynął dzisiaj spotkany chłopak. Dziś rano nie zwróciłam na niego zbyt dużej uwagi - za bardzo byłam zdziwiona zdarzeniem, zresztą nawet w normalnych okolicznościach nie przejęłabym się nieznanym - taka już jestem. Teraz miał na

sobie luźną, błękitną, bawełnianą koszulę i brązowe, płócienne spodnie. Jego rozwiane włosy tworzyły brązowe płomienie wokół głowy, a niebieskie roześmiane oczy rzucały iskry.

- Nie dziwię się, że mi wcześniej nie odpowiedziałaś, skoro twoja tratwa wygląda tak mizernie.

Jako że puściłam jego uwagę mimo uszu i odwróciłam się ostentacyjnie. Nie będzie obrażać mojej tratwy, nawet jeśli faktycznie była mizerna.

- Hej, nie obrażaj się - kontynuował swoją wypowiedź. - Chciałem się tylko przywitać - znowu nie otrzymał ode mnie odpowiedzi. - Zadzwonisz do mnie? - Jego uśmiech był rozbrajający. Odruchowo sięgnęłam do miejsca, gdzie wcześniej znajdowała się kieszka z jego numerem. Uprzymiśniłam sobie, że zamiast spodni mam na sobie sukienkę, tylko wzruszyłam ramionami.

- Nawet jakbym chciała, to nie mam jak. Nie mam telefonu przy sobie.

Roześmiała się serdecznie, całym sobą, jak to potrafią tylko nieliczne osoby.

- Nie teraz, głuptasie. Później. Teraz możemy porozmawiać. Dokąd zmierzasz?

Znowu wzruszyłam ramionami. Byłam tu po raz pierwszy. Nie wiedziałam, dokąd można by zmierzać i w ogóle po co dokądkolwiek zmierzać.

- Może cię podholować? Na którą wyspę płyniesz?

- Nie chcę nigdzie płynąć, wolę zostać.

Po raz pierwszy zamiast uśmiechu na twarzy chłopaka pojawił się wyraz głębokiego zdumienia. Wytrzeszczył na mnie oczy, co sprawiło, że poczułam się zażenowana i zirytowana jego zachowaniem.

- Każdy ma jakiś cel, chce coś osiągnąć. Ty nie? - zdziwił się.

Wzruszyłam ramionami. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, a teraz tym bardziej nie miałam zamiaru. Milczałam, on też. Bryza nasiliła się. Chłopak zwrócił twarz w stronę, w którą ulatywały pióra mew, pojawiające się niewiadomo skąd.

- To mój kierunek. Jeśli wiatr się zmieni, będzie mi ciężiej płynąć. Popłyni z mną. Razem uda nam się odnaleźć twój cel.

- Chcę zostać tu, gdzie jestem.

- To twój wybór. Ale nie możesz wiecznie dryfować.

Ściągnął bom, żagiel napiął się i poniósł go wraz z omegą daleko, daleko, aż zniknął wśród setek innych łódek.

* * *

Blat ławki, przy której zasnęłam podczas lekcji, odbił na moim policzku nierównym szlaczkiem. Nie byłam w ogóle zmęczona, a jednak lekcja okazała się tak nudna, że zapadłam w sen praktycznie na samym początku. Przetarłam oczy, zadowolona, że nauczyciel nie zwrócił na mnie uwagi. Nagle ktoś trącił moje ramię.

- Nie śpisz już? Zostałaś ostatnia, więc mamy razem prezentację! - radosny szczebiot koleżanki z klasy z miejsca mnie obudził. Nie miałam pojęcia, o jaką prezentację jej może chodzić. Druga koleżanka stała z wysoko uniesioną głową, z pobłażaniem podając mi kartkę z tematem projektu.

- Po szkole masz poczekać na nas przed wejściem, zrozumiałaś?

Zaspana kiwnęłam głową, zebrałam rzeczy i poszłam na ostatnią lekcję. Zdążyłam jeszcze zająć do biblioteki po potrzebną do projektu książkę - nie wiedziałam, czy już chcą rozpocząć przygotowania czy tylko rozdzielić pracę. Wolałam, żeby się mnie nie czepiały.

Chwilę musiałam na nie czekać, nie spieszyły się za bardzo. Pierwsza przyszła Monika, lekkoduch bujający w chmurach.

- Ten projekt pójdzie nam jak z płatka! Wszystkie moje prace tak się kończą! Mam niesamowite szczęście, mówię ci! Fajnie, że zaczynamy już dzisiaj! Nie mogę się doczekać! - krzychała mi do ucha, co chwila popiskując i zalewając mnie potokiem słów, których sens dawno przestałam śledzić. Na szczęście Ada, druga członkini naszego projektu, podeszła do nas chwilę potem, kończąc rozmowę telefoniczną i chowając drogą komórkę do futerału.

- Jeżeli wam to nie przeszkadza, sama przygotuję projekt - powiedziała stanowczo, na co Monika zareagowała jeszcze większym okrzykiem szczęścia, że nie musi nic robić. Ja tylko wzruszyłam ramionami. Jeśli chce, może się tym zająć. Ważne, żeby był porządnie wykonany - przynajmniej na tyle, żeby zdać. Ale Monika nie umiała ze spokojem przyjąć tej wiadomości, zalała Adę ulewą pytań o przyczynę. Ada uniosła rękę, aby ją uciszyć.

- To zbyt ważny projekt, ocena z niego przeważy ocenę końcową. A ja muszę mieć z tego przedmiotu szóstkę. Nie mogę ryzykować, że przy wazszym braku profesjonalizmu dostaniemy pięć, czy gorszą ocenę. Dlatego rodzice zamówili mi korepetytora, który przygotowuje projekt ze mną, a wy się pod nim podpiszecie. Możecie się odprężyć, wszystko załatwię.

Wzruszyłam ramionami. Skoro ktoś się postara, lepiej dla mnie. Szóstka zawsze się przyda.

* * *

Znowu siedziałam na swojej tratwie w białej sukience. Nie zadzwoniłam do nieznajomego, nie miałam odwagi. Schowałam tylko karteczkę do szkatułki z biżuterią, tak na wszelki wypadek, żeby nie zgubić. Pewnie dlatego nie przypłynął znowu do mnie. Czułam się przez to samotna i trochę oszukana. Ale nie długo. Głośny ryk silnika spalinowego kazał mi obrócić się i spojrzeć na horyzont po prawej. Nadpływał stamtąd mały jacht. Widać było że nie mało kosztował. Kilka osób krzątało się na nim, sprząając, sprawdzając kierunek. Jakiś młody człowiek o wizerunku naukowca coś deklamował, jednocześnie wachlując Adę leżącą na leżaku w bikini z kapelusikiem na głowie i okularami przeciwsłonecznymi zasłaniającymi jej migdałowe oczy. Bogaczka, zauważywszy mnie, zdjęła okulary i podeszła do brzegu jachtu.

- Pływasz takim czymś?! Aż dziwne, że nie toniesz.

Pominięłam jej słowa, bardziej zaabsorbowała mnie inna sprawa.

- Skąd masz taki jacht?

- Rodzice mnie w niego wyposażyli. I we wszystkich służących też. Jak ma się dobry start, to później łatwiej w życiu. - Z tymi słowami i rykiem silników odpłynęła w dal.

Z takim silnikiem mogła dotrzeć, gdzie chciała. I nie musiała nawet nic robić. Ale po co motor komuś, kto nie wie, dokąd ma płynąć? Siedziałam dalej na tratwie, która dryfowała leniwie wraz z prądem. Znudziło mi się już oglądanie dna morskiego, więc położyłam się na plecach i wpatrzyłam w niebo, tym razem lekko zachmurzone. Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałam duży latawiec wraz z piszczącą osobą przyczepioną do niego, który przeleciał kilka metrów nade mną. Usiadłam gwałtownie i przypatrzyłam się podrygującej na kitesurfingu Monice, targanej przez niesforny wiatr i co chwila to unoszącej się, to opadającej na taflę wody.

- Jak to robisz? - wyrwało mi się. Też chciałam wzlecieć jak ona.

- Unosi mnie nastrój chwili i fart! To one sprawiają, że mogę surfować, dokąd chcę! - huk odległych fal i silny wiatr sprawiły, że musiała do mnie krzyżeć, a i tak niektóre jej słowa uciekły mi bezpowrotnie. - Bez nich utonąłabym! - silniejszy podmuch zabrał ją ze sobą.

Moje oceny wyglądały nienajlepiej. Uczyłam się na tyle, by zdać - taki był warunek rodziców, gdy wybrałam liceum zamiast szkoły zawodowej. Jednak nie umiałam wystarczająco dużo, żeby bez problemu przejść se-

mestralne testy organizowane przez szkołę każdego półroczu. W dodatku nawet dodatkowych projektów zadawanych przez nauczycieli dawał mocno w kość. Nie mam prawie żadnych zajęć dodatkowych. W wolnym czasie czytam i oglądam filmy. Popołudnia spędzam zwykle pijąc herbatę i sprawdzając, co nowego dzieje się na forach internetowych. Nie ma po co się udzielać - i tak jakiś internauta z pewnością mnie wyśmieje.

* * *

W sobotę zostałam zaproszona na konkurs gimnastyki jako kibic. Mama kazała mi ubrać się odpowiednio i jechać ze sobą, by podziwiać nadzwyczajny talent kuzyna. W rzeczy samej, pokaz okazał się interesujący, ale jaki sens ma oglądanie czegoś, co potrafią inni, a my nie? To tylko przyprawia o smutek i melancholię. W dodatku, o ile wygranie pierwszego miejsca przez kuzyna było sukcesem, o tyle dla jego rywala zajęcie drugiego miejsca okazało się porażką. Skończyło się wezwaniem karetki i podaniem środka uspokajającego chłopakowi, który wpadł w szal.

- Gdyby ktoś go nie powstrzymał, to chyba zrzuciłby mnie z podium! - powiedział kuzyn po występie, niby śmiejąc się, ale w jego oczach widniał strach. - Wygrana była ważniejsza dla niego, niż zdrowie. Nie raz widziałem, jak brał środki poprawiające sprawność organizmu, ale wyniszczające go od środka. - Kuzyn pokręcił głową ze współczuciem. - Po tym wybuchu najprawdopodobniej straci wszystko...

* * *

Moja tratwa kołysała się niespokojnie na burzliwych falach. Z kierunku, gdzie jak przypuszczałam był zachód, nadciągały ciemne chmury. Zapowiadało się na deszcz. Przeszłam kilka chwiejnych kroków po tratwie, poskakałam na niej. Powinna wytrzymać mały sztorm. Zaległa cisza przed burzą.

W tej ciszy dosłyszalny był równomierny chlupot wiosła. Zwróciłam twarz w kierunku odgłosu i moim oczom ukazał się kuzyn w małej łódce z wiosłami.

- Idzie burza. Masz przystań, do której możesz się schronić? - zapytał, nie przerywając wiosłowania. Zaprzeczyłam, kręcąc głową.

- Nawet gdybym wiedziała, gdzie jest, nie mam jak do niej dopłynąć. Ty masz wiosła.

- Tymi wiosłami i moją ciężką pracą jestem w stanie osiągnąć każdy cel, jaki tylko zapragnę. To dzięki mojej determinacji i wysiłkowi posiadam to,

co posiadam. Ty masz tylko tratwę. Ale nie potrzebujesz więcej - wolisz dryfować. Widzisz wyspę za mną? To sława, chcę być znanym i cenionym sportowcem. Coraz bliżej mi do mojego celu. A ty płyniesz z prądem. Przy najmniej nie szamoczesz się jak wariatka. - wskazał gdzieś za moimi plecami.

W łódce podobnej do łódki kuzyna siedział zawodnik, który dzisiaj z nim przegrał. Śmiał się sam do siebie, jednym wiosłem uparcie wiosłował w jedną stronę, drugim w drugą. Jakby zdziwiony, że nie przynosi to efektu, przyspieszał i wzmacniał swoje uderzenia wiosłami o wodę. Jedyńm ich skutkiem były rozbryzgi wody. Widok był zbyt przerażający, odwróciłam wzrok. Nie chciałam tak skończyć! Chciałam krzyknąć do kuzyna, żeby mi pomógł, ocalił przed burzą, ale on już dawno odpłynął do swojego celu. Powiał gwałtowny wiatr, fale się zwiększyły. Przywarłam do mojej tratwy. Nie chcę utonąć. Nie chcę! Wszystkie statki pouciekały do portów i przystani. Byłam sama, nikt nie mógł mi pomóc. Gdzieś w oddali ktoś stanął na swojej łupince od orzecha, rozbijał ją, po czym wpadł do wody. Nie mogłam mu pomóc. Nikt nie mógł mi pomóc! Gdzieś indziej jakaś kobieta sama nalewała sobie wody do kadłuba, po czym większa fala zalała ją całą i zniknęła mi z pola widzenia.

Zamknęłam oczy przerażona nagłym szkwałem. Przywarłam do drewnianych belek całym ciałem, a burza rozpętała się na dobre.

* * *

Niedzielny poranek był słoneczny - zupełnie jak po burzy, chociaż padało tylko w moim śnie. Ale nie to zaprzętało moje myśli. Zerwałam się na nogi i pobiegłam do pokoju rodziców.

- Tato! Pamiętasz to zaproszenie na kurs rysowania? Mogę się na niego zapisać?

Zaspany tata przetarł oczy i nieprzytomnym głosem wymruczał:

- Nigdy ci nie zabraniałem. Jak chcesz, to idź.

- Dziękuję!

Pobiegłam do pokoju, złapałam książkę od historii i zaczęłam się uczyć na poniedziałkowy sprawdzian. Później przyszła kolej na chemię i fizykę. Z matematyki też zrobiłam kilka zadań. Rozpierała mnie chęć tworzenia, uczenia się, poznawania nowych rzeczy. Perspektywa jak dotąd biernego przypatrywania się wszystkiemu sprawiała, że ciarki przechodziły mi po plecach. Następnego dnia zapisałam się do kółka rysunkowego. Już od pod-

— | | —

kowego, śmiejąc się i bawiąc. Stałam na mojej tratwie w białej sukience, śmiejąc się razem z nimi. Tylko że to już nie była ta sama "moja tratwa". Pojawiła się na niej pierwsza zmiana. W ręku trzymałam ster, a w prowizoryczny żagiel wiał wiatr.

Małgorzata Witka-Jeżewska

I nagroda w kategorii dorosłych

NORWID

życie odważyło mi piętke spieczonego chleba
położenie odważyło się za mnie

stało się stopą przykryłem atlantyk

ciężko idzie przez ocean bryg czy może galar
zaprzężony w jaskółkę nadziei
ameryko wołałaś dlatego przychodzę
namalować twój prawdziwy portret
znaleźć ci jakieś nowe usta

okaż swoje wdzięki w światowej wystawie
świat nie taki chętny słuchać nowych mitów
będzie cię podziwiać a zawsze osobno

w tej ameryce całkiem już ogłuchnę
zatrzaśnie się wieko trumny czy fortepianu
skazany na odmę paryża
wrócę zamknąć moje życie w zasupłanej skrzyni

teraz
między brzegami
jestem wreszcie u siebie

po pierwsze zarobić na bilet z powrotem

Albert Duzinkiewicz

* * *

srebro i lazur
ostatnie skurcze portu
murter
jak stół w porze sjesty
słomki wież ssą wilgoć nieba
potem tylko jak strzykwa opuszczona przez morze
już go nie ma

srebro i lazur
wpływamy w krwiobieg

wypłoszone przez ławice tankowców
wyspy
odpłynęły na północ
sieroty po atlantydzie
zostało jedno morskie stado
kornaty

srebro i lazur

dzisiaj panie ryba już nie ta co kiedyś

Albert Duzinkiewicz

* * *

zaczerpnąłem ze studni woda była słona
morze małe w brzegach szczerbatej emalii
tak smakuje wolność
której pić nie sposób

stanąłem pośrodku w zatoce do kolan
do pasa góra wytryskała z wody
w ślepej kiszce myślałem

nic że to była jedynie zatoka
w środku nie znalazłem śladu
limes inferior
tylko ocean podwodnych kształtów
echinodermata holothuroidea pteiomorphia

morze jak jubiler przy głównej ulicy
wydobyło z szuflad nadmiar piękna

wypłynąłem na głębię gór lodowych i lagun
bosforów hornów dardaneli marmarów
atoli archipelagów ameryk
moje żagle wreszcie objęły horyzont

jeszcze przy obiedzie
znalazłem na wargach sól
którą da się jedynie
Smakować

Albert Duzinkiewicz

II nagroda w kategorii dorosłych

Dlaczego...

w ciszy wieczoru
twarz słońca tonie w morzu
a ty uciekasz ciągle
twe myśli
jak skrzydlate żagle
biegną gdzieś
targane słońcą dłonią bryzy
choć stoisz tak blisko
to jakby cię nie było

dlaczego twe słowa
uciekły przed krzykiem mew
zostawiając w twych oczach krople
wczorajszego dnia
którego i tak nie chcesz pamiętać
jedynie milczenie twym znakiem istnienia

nie patrz na niknące we mgle kutry
nie zazdrość im wędrówki
nie żegnaj ich gestem rozstania
one powrócą z łowisk
nim usta ci skamienieją
w cieniu upiornego cienia
nim zagubisz się do końca
w szaleńczej pętli czasu

wróć
nim wydmy przybiorą kształt grobów
zgaśnie srebrny cień księżyca
zostań
i nie pytaj
Dlaczego

Mirosław Odyński

* * *

pamięci ks. Bogusława Żurawskiego

w modlitwie pochylona
otulona mgłą nocy postać
roziewana podmuchami wiatru
z cierpieniem w dłoniach
pod krzyżami Piaśnicy
żebrze o litość

tak, poznaję, to Ty, Bogusławie
wieczny już żeglarzu
znowu jesteś tu
gdzie przystań Twojego życia

powracasz
więc jesteś
i zostaniesz
przy piaśnickich grobach
choć w rozsypanych popiołach
jeszcze tlą się iskry nienawiści

modlisz się o miłość
choć inni
jak dwa tysiące lat temu
w strumieniach pacierzy i błogosławieństw
do dziś zabijają Twojego Boga
wznoszą wciąż nowe krzyże nienawiści

pod nimi płacz matek
krzyk dzieci
tragedia ojców
nieme pytanie
o pamięć Ukrzyżowanego
i Ty

Miroslaw Odyniecki

Uciekanie

życie
tak naprawdę
to nie gonitwa za jutrem
w którym otworzy się niebo
szczęścia
miłości
dobroci

to ucieczka przed wczoraj
i dziś
przed sztormem bólu
wichrem nienawiści
cyklonem zazdrości
ogniem gniewu
goryczy
i klęski

lecz my
ziemscy żeglarze
i tak oczekujemy ciągle
wyśnionej przystani
której na imię Eden
gdzie mit Hiroshimy
Auschwitz
Birkenau
Piaśnicy
będzie tylko mitem
a nie grzechem naszym codziennym
czy uda się
uciec przed prawdą?

Mirosław Odyński

III nagroda w kategorii dorosłych

Batalia

Stojąc na brzegu,
znacząc piasek śladami mokrych stóp,
wyczekując kresu,
wzburzonych fal, gniewu nieczułych burz.
Obawiając się niebiańskich Cyklopów,
spróchniałych ludzkich
przegniłych dusz,
steru co za azymut obrał nicość..

Licząc skrycie na ratunek
tego co najważniejsze,
walcząc o każdy oddech,
broniąc siebie póki czas,
walczyć z morzem,
jednocześnie pragnąc życiodajnej kropli,
tej co napoi duszę.

Żeglować,
bytować póki czas!

Bogumiła Mielewczyk

Niepewność

Dryfując na martwej fali
nakrapianej odrobiną chryzolitu.
Konsumując roztargnioną ciszę
w odmęcie bezkresnym.
Poszukując straconego czasu,
ocierając się o truchła zmurszałe,
wskazujące mi lepszy szlak,
zwodniczą, morską ścieżkę.

Wyczekując pieszczotliwego powiewu,
zdolnego ukoić poranioną duszę,
uformowaną przez gorycz morza.

Obawiając się mgły jedwabnej,
mleka na złość zamazującego kierunek,
mączącego moje zmysły.

Drżąc o brzeg przyjazny,
niepewną pomoc,
twoją wyciągniętą dłoń.

Bogumiła Mielewczyk

Trwoga

Nie ważne, że pod wodą
jaskiń ludzkich głów.
Znów pod powierzchnią
na szybach wśród różanych strug.

Nikt nigdy nie ujrzał
głębin jej rzeczywistych marzeń.
Nikt nie napotkał nieśmiałych myśli,
tak bardzo skrywanych
w oceanie.

Istota z falbaniastych fal zrodzona,
delikatnie gwałtowna i słona.
Pod warstwą własnych ograniczeń,
na zawsze samotna,
w milczeniu kona...

Bogumiła Mielewczyk

Wyróżnienie w kategorii dorosłych

Biegnać...

...biegnąc
przed słońcem
samotnie
nieprzytomnie
krzyżując drogi
niepotrzebne
wysiadając
na przystankach nieszczęśliwych
w światach równoległych
stojąc
bezradnie
przed zagadką życia
bez wyjścia
ze smutkiem
zaszytym w cień wszechświata
szukając
wyjścia z labiryntu
wznieść
swoje serce
znaleźć
drugie
w zgiełku tłumu...

Elżbieta Bieńko-Kornacka

2012

Jestem żeglarzem

jestem żeglarzem
żeglarzem jak inni
poszukiwaczem zaginionych lądów urojonych pragnień
i niespełnionych marzeń
wspomnień urwanych nadgryzionych zębem czasu
i nieprzyswajalnych skojarzeń
jestem żeglarzem
nieogarnionej niespełnionej przestrzeni czasu
poszukiwaczem przygód namiętności
i namiastek szczęścia zabarwionych goryczą smutku
ale jestem też wędrowcem chmury tęczowej na niebie szerokim
i tajemniczym pielgrzymem klękającym na wzgórzu wysokim
kim jestem tutaj i teraz
może maratończykiem czasu i miłości
kim jestem naprawdę w Twoim sercu
powiedz...

Elżbieta Bieńko-Kornacka

2007-2012

Wędrująca dusza

Duszo moja, duszyczko, wędrowniczko,
Dokąd tak spieszysz, do jakiego celu zmierzasz?
Przemoczona, zmarznięta, nienakarmiona,
Przycupnęłaś za drzewem całkiem zawstydzona.
Ręce twe białe, twarz kolorowa,
Szata podarta i całkiem nienowa.
Czemuż, ach czemuż oczy wypłakane,
Łzy nieutulone, nóżki podeptane.
Duszo moja, duszyczko, spieszna wędrowniczko.

...

Zatrzymała się dusza nad mogiłą dzieciątka.
Pogaduszkę ucięła z inną duszą zwierzątka.
I tak dalej wędrują, obie,
Razem złączone na wieczność,
Raz w tym życiu, raz w innym,
Ciągłe niespełnione.

Elżbieta Bieńko-Kornacka

2007

CHMURY

o nich wieszcz:
u nas dość głowę podnieść...,
a teraz wielkie zawirowania.
pamiętasz dzieciństwo?
były miękkie, białe,
niosły się nad naszą wodą
jak puchowe pierzyny babć,
jak rozdmuchane koszycki
kędzierzawych ostów,
wirowały od zawsze.

teraz nie podnoś głowy,
bo pytajniki, wykrzykniki:
będziemy, nie będziemy, nie wiemy?
rano, w wieczór, we dnie, w nocy,
kto nam ku pomocy?
choć tej wiosny taka jasnozieleń,
lecz przyływ morza wodą narasta,
i te cumulonimbusy w żywiole nieba.

lecz spójrz,

ile paciorkowych skrzeków
biega między liśćmi żabieńców,
jak rozsadza się ich wesołość.
i turkot rzekotek wszędzie...
fluorescencja w naszym małym zalewie:
pełno pluskwiaków, nartników
o różnobarwnych skrzydłach pastel.
i jak to wszystko,
i mimo wszystko
błyska życiem.

Edyta Wysocka

GDY Z CISZY WYCHODZI GŁĘBIA

*Jest skończonością i nieskończonością,
doczesnością i wiecznością
ogromem i kresem.
...Potem wstał, rozkazał wichrom i morzu,
i nastąpiła głęboka cisza.*

Ewangelia według św. Mateusza 8.23-27

rybitwy, dzieciaki, 30 w cieniu,
bezwietrzność rodzi chwilę,
fala: powoli, narasta, odkształca się,
rozdiera powietrze i światło.

murom łatwiej padać, i drzewom,
a te różowe, turlają się maleńkie
wprost do otwartych łuz ziemi,
jak kapiące kule bilardu zdarzeń,
krew dziecka jest jasna, 70 na 110.

i wszystko wydaje się agorafobiczne,
bez logicznego ładu przestrzeni:
ulice rzeką, kamienie, piach,
ciała i skorupy oniemiałych skamielin,
szczątki staro wieczne z dna pradziejów...

opowiadałeś o Arce Noego,
o długiej pamięci pokoleń:
przychodzi czas, gdy z ciszy wychodzi głębia,
z sensu przeobraża się w nieuchronność,
w pozornym bezruchu otwiera kres.

Edyta Wysocka

* * *

*W nieskończoności wody
powstaje bańka mydlana,
trwa krótko i pęka...
Na chwilę tu jestem.*

W. Szymborska

płochliwi, z lękiem o skończoność,
z eksplozją strachu w przełyku,
w czasach szybszych od dźwięku,
w czasach lotów astralnych,
bezdrożami świata, wczoraj-dzisiaj-jutro.

samookaleczenia, blizny ran,
igły umysłu, kolce nienawiści,
łapanie sensu jak wiatru
i miłość - psychodeliczna ułuda.
wszystko przemija,
w listowiu nerwów,
w snach dzikich zwierząt,
jak chełbie na piasku,
po ciemność jednej barwy,
w jedną wspólną przeszłość.
jeszcze podzwonne w czyichś słowach...
i zrodzą się inni, tacy podobni.

Edyta Wysocka

I nagroda w kategorii młodzieży

Obłoki

Jasne
Zakończone łagodnie
Dryfujące po niebie

Rybak siedzący na brzegu
Opiera na nich oczy i wróży czas połowu

Gładki pejzaż
Wypełnia bruzdy na jego czole
Łagodnie osiadając na ramionach

Jasne
Przygarniają do siebie głośnie łkanie mew
I troski rybaka
Niosąc je ponad horyzont

Starzec siedzący na brzegu
Opiera na nich oczy
Gdy w spracowanych rękach
Drży konieczność istnienia

Michalina Tańska

* * *

Kiedy niebo zasłoniło planety
I fale stały się wszechmocne
Wiatr przeniknął
Dwie kamienne figurki pogrążone w nocy

Zdrętwiały w objęciu
Patrząc na grzbiety morza

Nie ostygł zapal Ziemi
Wirującej pod ich stopami
Więc trzymali swoje nieruchome ręce
I trwali nieugięci czasem
A niebo dryfowało nad nimi

Michalina Tańska

Połów

Ich oczy wyglądały niespokojnie
Naprzykrzających się sieci
Buszujących
W zieleni fal
I gdy nie było możliwości ucieczki
Drewniane czółno splądrowało morze
Nie zważając na sprzeciw ryb
Prężących dumnie łuski
Na znak protestu

Michalina Tańska

II nagroda w kategorii młodzieży

Bandera

Żagle na masz,
wybrać szmaty,
pokład szorować,
kotwice podnieść.
Lewo na burt,
jeśli wam życie miłe.
I tak okręt z czarną banderą,
wypływa na morze.
Z otchłani kraken,
z portu Tortuga,
życiem woda,
niczyj to sługa.
Napady i kradzieże,
bez litości i mrugnięcia okiem,
rum polać,
mapy do kajut,
kurs na życie wieczne,
do źródła pamięci.
Tak pirat kapitan,
swym statkiem włada.

Dawid Winiarski

Żegluga

Żeglując po otwartym oceanie,
nazwanym życiem
szukałem sensu w morskich
odmętach.

Rozmawiając z wielorybami,
dowiedziałem się tak wiele
o bezsensowności istnień.
Tam, gdzie spojrzę na horyzont
nic mnie nie nasyci.
Wiatr wciąż popycha mnie w przód,
lecz ja rzucam kotwicę i stoję w miejscu.
Nie chcę odpływać z portu samotności,
chcę tu zostać, wraz z rozgwiazdami
rozsypanymi po niebie,
wciąż i wciąż zmiennych i ruchomych,
czego nie dostrzega zwykły sekstans,
czy luneta.
Księżyc długim promieniem odbija się
w toni głębokiej, ukazując blask i piękno
tego, co na pierwszy rzut oka pozostaje
niedostrzegalne.

Dawid Winiarski

W otchłani głębinach

Czymże jest konieczność,
która spycha nasze życie do żeglugi.
Przecież nie tylko moje myśli
płyną jak łódka po rzece,
jak okręt na pełnym morzu
stary XVII-wieczny,
lecz najpiękniejszy, jaki widziałem.
Popychany przez wiatr,
wciąż uparcie zmierzający do portu.
Pomimo kotwicy, która dawno zahaczyła,
o morskie dno , przy czym popękała rufa.
To i tak na ostatkach statku rozerwanego,
przez liczne bitwy, z których nie zostało
się ani jedno działo, popychany
wciąż i wciąż niezmiennie w jedno miejsce,
z którego nie ma już ratunku,
lecz zawijając do portu,
składając szablę i pistolety do kufra,
stając na stałym lądzie uprzednio
z bocianiego gniazda głośno
obwieszczonym:
"Ziemia na horyzoncie",
Wiem, że będę tęsknił,
bo tylko w morskich głębiach
mój duch jest spokojny i wolny.

Dawid Winiarski

Nie wypłynąłeś

Jak krew szkarłatna,
Burzy się morska fala,
Gdy przychodzisz na świat,
Drewniana szalupa czeka na ciebie,
Dookoła cisza, głębokie oczekiwanie,
Nic się nie stanie,
Nikt nie zakwilił,
Słońce zaszło,
Morze spłynęło szkarłatem błękitu

Agnieszka Grzegorzewska

Marne obietnice

Słodkie słowa,
Pośród słonej wody,
Nie zapewnią szczęścia,
Nie spełnią marzeń,

Wrota do raju,
Na nieokreślonym brzegu,
Na nieokreślonym oceanie,
W nieokreślonym świecie,

Koniecznością jest dążyć,
Nie do określonego bytu,
Lecz do niepewnej jutrzeźki

Agnieszka Grzegorzewska

Mogłabym

Mogłabym stać,
Czekając na ciebie,
Schnąć na bezlitosnym słońcu,
Ścierając suchym językiem
Ostry smak soli

Mogłabym wypatrywać cię nocami,
Przywoływać ochrypłym głosem,
Zmęczonymi palcami rysować
Twoje oblicze na piasku,
Które jutro zniknie wraz ze słońcem

Mogłabym,
Ale wypłynęłam

Agnieszka Grzegorzewska

Wyróżnienie w kategorii młodzieży

(....)

Gdy słyszę jego szmer, robię się spokojna.
Mogę uciszyć serce i uporządkować swe myśli.
Delikatny wiatr zwiewa je daleko.

Jego szum sprawia, że czuję się bezpiecznie.
Me zmęczone stopy obmywają morskie fale.
Jestem wolna, gdy wiatr płacze się we włosach.

Promienie słońca ogrzewają me ciało.
Białe ptaki tańczą pod chmurami.
Jest tak kolorowo tu i we mnie.

Dlatego kocham morze.

Anna Białk

(...)

Noc się kończy, teraz jest szary poranek.
Już świt do życia Cię ponagli.
Słońce niczym Twa kochanka
da Ci siłę, tchnie ją do twych żagli.

Byś nie drylował w tym nieładzie.
Po to, żebyś dobił do portu swego celu.
Dbaj o powodzenie swej załogi,
Czuj na tym pokładzie swą niezbędną.

Wciąż tak żeglujesz w życiu po oceanie.
Co lepsze, spokój czy fale wzburzone?
O czym w życiu swoim marzysz?
Ja – przygód szalonych pragnę.

Mam wiele wspomnień, których nie żałuję,
Są najcenniejszym życia darem.
Jak bezpiecznie do brzegu przy płynę,
Raduję się, bo cudownie ocalona jestem.

Anna Białk

(...)

Wszędzie ciemno, jakoś cicho.
Nie potrafię niczego dostrzec.
Niełatwo być człowiekiem.

Chcę być choć przez chwilę ptakiem,
móc wznieść się wysoko,
móc czuć lekkość wiatru.
Zazdroszczę ptakom nieba bliskości.

Pragnę stać się kwiatem,
Dostrzec choć na moment kolory tęczy.
Kwiaty nie krzywdzą tak jak ja.
Zazdroszczę im delikatności.

Chciałabym przerwać ciszę wokół mnie,
stać się niczym wiatr,
przejąć jego potęgę.
Zazdroszczę mu wolności.

Jestem smutna, chcę odpocząć,
zraniona przez życie i życie raniąca.
Niełatwo być człowiekiem.

Anna Białk

POSŁOWIE

Kiedy rzymski wódz Pompejusz wypowiadał słowa „Navigare necesse est” (Żeglowanie jest rzeczą konieczną), nie przypuszczał zapewne, że staną się one inspiracją dla tysięcy ludzi przez długie wieki. Przede wszystkim żeglarzy, ale także tych, którzy muszą podejmować trudne decyzje i rzucać się na głęboką wodę nie tyle mórz i oceanów, ale rozmaitych życiowych fal i sztormów.

Na taką wodę rzucili się także uczestnicy tegorocznego Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny”. Kiedy podejmowaliśmy decyzję, że tym razem mottem przewodnim nadsyłanych prac mają być właśnie słowa Pompejusza, obawialiśmy się, że dla wielu ta woda może okazać się zbyt głęboka i być może zabraknie chętnych, aby wskoczyć na konkursowy okręt. Na szczęście okazało się, że zainteresowanie przerosło nasze oczekiwania. 55 utworów to rekordowa liczba, jeśli chodzi o „Powiew Weny”. Okazało się, że w województwie pomorskim nie brak twórców przekonanych, że „Navigare necesse est” i – co ważne – potrafiących opisać to za pośrednictwem prozatorskich lub poetyckich dzieł.

Najbardziej zachwyciły nas prace w kategorii proza, grupa wiekowa powyżej 20 lat. Właściwie każdy z przeczytanych przez nas utworów odznaczał się widoczną dbałością o piękno języka, opisywał trudne wybory życiowe bohaterów i – co ważne - zmuszał Czytelnika do przemyśleń.

Pomimo tak wysokiego i dość wyrównanego poziomu okazało się jednak, że wszyscy jesteśmy zgodni co do trzech najlepszych prac tej kategorii. Pierwsze miejsce przyznaliśmy utworowi „Tam gdzie kres...”.

Jego autor („Ahoj!”) potrafił znakomicie opisać swojego bohatera Wiktora, zwanego przez wszystkich Nawigare. Czytając o jego przygodzie pod Orknejami, Czytelnik ma wrażenie, że wraz z nim płynie szalupą, potem wskakuje w „kpiel skotłowanej wody” i ratuje kapitana przed śmiercią.

Nawigare miał nosa i farta do żeglowania, natomiast – jak się dowiadujemy z utworu – nie radził sobie z pisaniem. „Miał literacką antenę tylko jedną – odbiorczą, drugiej nadawczej już nie miał”. Nie wiemy, czy Lesław Furmaga („Ahoj!”) podobnie jak jego bohater Wiktor ma nosa do żeglowania, ale na pewno posiada obie literackie anteny. Gratulujemy zwycięstwa w naszym konkursie i czekamy na kolejne przygody Nawigare.

Laureatka drugiego miejsca „Marabutka” (Bogumiła Richert) nadesłała pracę zupełnie niezwiązaną z morzem i żeglarsstwem. Główna bohaterka jej utworu kobieta, która zdecydowała się na opiekę nad gromadką cudzych dzieci, nie potrafiłaby zapewne poradzić sobie na okręcie. Bez wątpienia jednak jej zmagania z życiowymi trudnościami, niezrozumieniem ze strony podopiecznych, nauczycieli, czasem własnych córek są wyzwaniem równie ciężkim i godnym pochwał, jak akcja Nawigare pod Orknejami. Niestety jej „przygoda” nie kończy się happy endem. Autorka zostawia nas w momencie krytycznym i każe samemu pomyśleć, co dalej...

W nagrodzonym za trzecie miejsce opowiadaniu Lidii Zdzitowieckiej „Do stacji – Przeszłość Główna” bohaterka utworu Blanka, jest żeglarką, która jednak pływa nie na okręcie, ale w pociągu. Znudzona życiem, swoją pracą, podrózkami, żyjąca „bez emocji, bez rozmyślań, bez niechęci”, krytycznie ocenia wszystkich współpasażerów. Pewnie wiele osób poświęcających życie dla pracy odnajdzie w niej siebie i swoje problemy.

W kategorii proza, grupa wiekowa powyżej 20 lat, zostały też przyznane dwa wyróżnienia dla prac kaszubskojęzycznych.

„Krecik” (Tomasz Fopke) zdecydował się na stworzenie słuchowiska radiowego. Nienaganną kaszubszczyzną opisuje tragiczną śmierć ojca rodziny w wypadku samochodowym. Niejako przy okazji Czytelnik dowiaduje się o problemach wejherowskich kolejarzy, słucha plotek o bankructwie ZUS-u i globalnym ociepleniu. Muzyczne tło słuchowiska tworzy utwór śpiewany przez Alicję Majewską „Odkryjemy miłość nieznaną”, gdzie powtarzają się słowa „Navigare necesse est”. Autor znakomicie „czuje” język kaszubski i zwłaszcza podczas głośnego czytania nabieramy przekonania, że jego „Dôka” to słuchowisko nie tylko z nazwy. Miejmy nadzieję, że jakieś lokalne radio zdecyduje się na jego nagranie i wyemitowanie.

Drugie wyróżnienie w tej kategorii. „Właściwy kurs” autorstwa „BFCB” (Krzysztofa Szkurłatowskiego) opisuje spotkanie z martwym żeglarzem gdzieś na bezdrożach Newady. To piękna lekcja delikatnej, prostej i wzruszającej miłości po grób. Miłości, która nawet śmierć czyni łatwiejszą i mniej bolesną. W utworze poznajemy pięć różnych postaci (dwóch polskich podróżników, ojca-alkoholika jednego z nich, martwego marynarza oraz jego żonę), trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że tak naprawdę najważniejszymi bohaterami „Właściwego kursu” są miłość i śmierć.

Laureat Nagrody Prezesa Zarządu Głównego ZKP Mateusz Meyer (Mustwin) napisał opowiadanie „29 rujana”. To napisana w języku kaszybskim opowieść o gorącej miłości młodych małżonków – Wioletty i Piotra, którą przerywa (a właściwie przenosi w inny wymiar i nadaje nowy sens) tragiczny wypadek, w którym zginęła Wioletta. To podobny motyw do tego, który opisał w swojej „Dôce” Tomasz Fopke. Mateusz Meyer nie przesłania jednak tragizmu tej sytuacji humorystycznymi dialogami, grą słowem (jak zrobił to „Krecik”). Stawia nas po prostu wobec niewyobrażalnego nieszczęścia Piotra, a dość tajemnicze i nietypowe zakończenie utworu tylko trochę łagodzi poczucie smutku i niepokoju Czytelnika.

Wysokim poziomem odznaczały się również prace w kategorii prozy, w grupie wiekowej 16-19 lat. Oczywiście, w kilku wypadkach można było zauważyć, że autorom brakuje jeszcze pewnego doświadczenia i dystansu, ale trudno, żeby u młodych piszących było inaczej. Jako jurorzy, mieliśmy w tej kategorii spory problem z wskazaniem zwycięzców, bo tak naprawdę na nagrodę zasłużyła co najmniej połowa uczestników. Ostatecznie zdecydowaliśmy pierwsze miejsce przyznać Aleksandrowi Nowakowi („Sable”). Barwna historia ucieczki Awrory Grustny z Imperium pełnego donosicieli, pijaństwa, kradzieży i morderstw jest przede wszystkim niezwykle wciągająca. Interesujące opisy, świetne, żywe dialogi, barwnie nakreślona postać głównej bohaterki, sprawiają, że od lektury tego dość długiego opowiadania nie sposób się oderwać. „Po drugiej stronie” miałyby spore szanse co najmniej na wyróżnienie również w starszej kategorii wiekowej.

Właściwie to samo można powiedzieć o zdobywcy drugiego miejsca. Mateusz Wasilka („Matjosz”) w opowiadaniu „Przez całą wieczność” wprowadza nas do fantastycznego świata, gdzie obok ludzi, żyją

syreny czy węże morskie. Niezwykłego tempa i dynamiki nadają temu tekstowi przede wszystkim liczne dialogi. Autor nie zasypuje nas na siłę mądrymi, wyszukanymi sentencjami, ale ważne prawdy o przyjaźni czy poświęceniu możemy sami wyczytać między wierszami.

Trzecie miejsce zajęła Aleksandra Mielewczyk („Profanum”). W opowiadaniu „Nie wystarczy wejść na pokład” opisuje zagubionego mężczyznę, który swój ból w samotności gasi alkoholem. Z beznadziejnej sytuacji próbuje wyciągnąć go pewien nieznajomy, który ukazuje mu dobre strony życiowej podróży. „Wszystko zależy od naszego nastawienia. Jeśli nie wstanimy lewą nogą, może okazać się, że nasz podchmielony kapitan zna masę dobrych dowcipów, osoba z załogi może okazać się naszą bratnią duszą, a do wiecznie przesolonej ryby można się przyzwyczaić” – przekonuje nieznajomy. Nie wiemy, czy ta rozmowa uratowała zagubionego bohatera, ale na pewno dała mu impuls potrzebny do walki o swoje życie.

Wyróżnienie w tej kategorii otrzymała „Adiutantka” (Małgorzata Witka-Jeżewska). Bohaterka jej opowiadania to nastolatka, która bierze nie przypadkowo się życiu, dryfuje bez celu, boi się negatywnych opinii innych osób („i tak jakiś internauta z pewnością mnie wyśmieje”), nie ma odwagi zadzwonić do nieznajomego, który zaprasza ją na spotkanie. Burza, którą przeżywa we śnie, zmienia ją jednak. Staje się człowiekiem, który sam trzyma w ręku ster swojego życia.

Poezja w grupie wiekowej do 19 lat cieszyła się najniższym zainteresowaniem. Tylko 9 autorów zdecydowało się nadesłać swoje prace. Nie znaczy to jednak, że zabrakło ciekawych utworów. Zwyciężyła Michalina Tańska („Buba”). Jej wiersze przenoszą nas na morski brzeg, gdzie możemy wraz ze starym rybakiem podziwiać obłoki, lub do drewnianego czółna, które „splądrowało morze nie zważając na sprzeciwy ryb”. Czytając utwory „Buby” kontemplujemy piękno nadmorskiej przyrody, myślimy o naszych związkach z „wirującą ziemią” i „dryfującym niebem”. Warto zanurzyć się w ten poetycki świat.

Najwięcej prac napłynęło w kategorii poezja, powyżej 20 lat. Jury musiało wybrać najlepszych spośród aż 19 poetów. Wygrał Albert Duzinkiewicz z Kwidzyna (z tej miejscowości nadeszło 5 prac – to dowód, że „Powiew Weny” zdecydowanie przekroczył już granice powiatu wejherowskiego). Każde słowo w jego wierszach jest przemyślane, związane z hasłem „Navigare necesse est” i zparasujące Czytenika do twór-

czej współpracy. Widać ogrom pracy, ale i rozległą poetycką oraz „morską” wiedzę. Zwłaszcza ta ostatnia okazała się wyzwaniem dla jurorów, bo musieliśmy w różnych źródłach sprawdzać, czym jest np. echinodermata holothuroidea pteriomorpha.

Bardzo blisko zwycięstwa w tej kategorii byli też Mirosław Odyniecki („Antidotum”) i Bogumiła Mielewczyk („Luminarz”). Nawet wybredni miłośnicy poezji powinni zapoznać się z większością wierszy, które tradycyjnie zostały opublikowane w pokonkursowej publikacji „Powiew Weny”. Do uważnej lektury tej książki serdecznie zachęcam, bo, parafrazując nasze tegoroczne hasło przewodnie, możemy z całą pewnością stwierdzić: Legere necesse est – czytanie jest koniecznością.

Dariusz Majkowski

Spis treści

<i>Bogdan Tokłowicz</i> – Drodzy Czytelnicy	3-5
WYNIKI KONKURSU	6
<i>Lesław Furmaga</i> – Tam gdzie kres...	7-11
<i>Bogumiła Richert</i> – Żeglowanie jest koniecznością	12-21
<i>Lidia Zdzitowiecka</i> - Do Stacji – Przeszłość Główna	22-30
<i>Mateusz Meyer</i> – 29 rujana	30-33
<i>Tomasz Fopke</i> – Dôka	34-39
<i>Krzysztof Szkurłatowski</i> – Właściwy kurs	40-45
<i>Aleksander Nowak</i> – Po drugiej stronie	46-55
<i>Mateusz Wasilka</i> – Przez całą wieczność	56-60
<i>Aleksandra Mielewczyk</i> – Nie wystarczy wejść na pokład	61-66
<i>Małgorzata Witka-Jeżewska</i> – Dryf	67-74
<i>Albert Duzinkiewicz</i> – Norwid, * * * , * * *	75-77
<i>Mirosław Odyniecki</i> – Dlaczego, * * * , Uciekanie	78-80
<i>Bogumiła Mielewczyk</i> – Batalia, Niepewność, Trwoga	81-83
<i>Elżbieta Bieńko-Kornacka</i> – Biegnąc, Jestem żeglarzem,	84-86
<i>Edyta Wysocka</i> – Chmury, Gdy z ciszy wychodzi głębia..., * * *	87-89
<i>Michalina Tańska</i> – Obłoki, * * * , Połów	90-91
<i>Dawid Winiarski</i> – Bandera, Żegluga, W otchłani głębin	92-94
<i>Agnieszka Grzegorzewska</i> – Nie wypłynęłaś, Marne obietnice,	95-96
<i>Anna Białk</i> – * * * , * * * , * * *	97-99
<i>Dariusz Majkowski</i> – Posłowie	100-104
SPIS TREŚCI	105

**W VII edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego
“Powiew Weny 2012” wzięli udział także:**

Paulina Richert (Luzino), Karolina Zychowicz (Kwidzyn), Kinga Formella (Zbychowo,) Martynka77, Kajetan Gołębiowski (Wejherowo), Paulina Piaskowska (Sucumino), Dorota Dejk (Czymanowo), Katarzyna Rafałko (Wejherowo), Tomasz Albecki (Wejherowo), Daria Wicka (Pomieczyno), Marcin Fedoruk (Rumia), Katarzyna Chmielewska (Reda), Bogusława Zubrzycka (Wejherowo), Wanda Kantecka (Wejherowo), Hippocampus, Wanda Dittrich (Wejherowo), Magdalena Kubiak (Wicko), Magdalena Wołosiak (Wejherowo), Sandra Splitt (Kwidzyn), Paulina Piasecka (Gdańsk), Anna Jabłonowska (Wejherowo), Natalia Bronk (Rumia), Jadwiga Żurawiecka (Wejherowo), Ewa Wójcik (Choczewo), Patrycja Wojkowiak-Skóra (Reda), Krystyna Trybowska-Goman (Wejherowo), Tadeusz Buraczewski (Reda), Andrzej Sitek (Wejherowo), Zyta Szweda (Wejherowo), Anika Wojewska (Rumia), Zbigniew Radosław Szymański (Gdynia), Alicja Orszulak (Wejherowo), Jan Plata-Przechlewski (Wejherowo), Anna Wiśniewska (Wejherowo), Krystyna Florko (Kwidzyn), Izabela Gmińska (Kwidzyn).

Wszystkim autorom z całego serca dziękuję za nadesłanie swoich utworów literackich na nasz konkurs i życzę powodzenia w następnych edycjach “Powiewu Weny” oraz innych konkursach literackich.

**Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowo
Bogdan Tokłowicz**



POWIATOWA I MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

ISBN 978-83-928233-2-2